

DOBRZY LUDZIE

FELIKSA GWIŹDŻA

WYDANE POPRZEDNIO :

PODCIĘTY DĄB. Moment dramatyczny w 1 odsłonie
Lwów 1906 (wyczerpane).

FALE. Poezye. Lwów, Księgarnia Polska B. Połono-
nieckiego 1907.

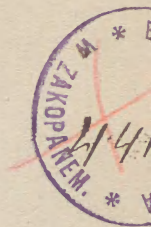
W PRZYGOTOWANIU :

POEZYE. Tom II.
JUBILACI. Powieść.

FELIKS GWIŹDŹ

DOBRZY LUDZIE

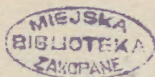
NOWELE I SZKICE



LWÓW 1912

NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ B. POŁONIECKIEGO.

WARSZAWA — E. WENDE i SP.



~~9449~~ 13935

884-3

W/06

Miejska Biblioteka Publiczna
w Zakopanem

82-3



0003-013935-00

DOBRZY LUDZIE

PRZESTROGA.

Książka może być łatwo przenosicielką gruźlicy i ostrych chorób zakaźnych.

By uniknąć zakażenia :

Obłóż okładkę czystym papierem.

Nie odwracaj kartek poślinionym palcem.

Po skończonem czytaniu myj ręce dokładnie mydłem lub lepiej rozczynelem lizolu.

Gdy kaszlesz, oddal książkę od siebie.

Pamiętaj, że chroniąc siebie, chronisz bliźnich!

I.

Lejzuś czuł od kilku dni, że w nim i dokoła niego dzieją się rzeczy dziwne, pełne niepokojących znaczeń. Rodzony brat unikał jego wzroku, bratowa Wikta zaczęła mu się podlizywać i nadska kiwać, nawet pasterzyczkowie Kubuś i Jędrusź pozierali nań chyłkiem, z pod kapelusza. Jeden-jedyny Florek z pod Grapy nie zmienił się w obej-ściu. Niestety, Florek był bez znaczenia w rze-czach, o które teraz Lejzusiowi chodziło. Cóż mu mógł dopomódz taki biedak-nieporada wierutny? Lejzuś nie wiedział, jak się zabrać do wyjaśnienia drażniących go ciemności. Niepokój zaś dokuczał mu coraz bardziej. Gdy wreszcie wlaźł mu za skórę i zaczął dopiekać na dobre, Lejzuś posta-nowił wszelkimi sposobami rozbić mgły, by zo-baczyć czysty, niezamącony błękit prawdy. Zabrał się zaś do tego tak, jak to on tylko umiał.

W upalne, lipcowe południe siedzieli w czarnej, zadymionej izbie Stafierów Kubuś i Jędrus, nieodłączni towarzysze, pasterze. Rozmawiając półsłówkami o tem, jakie światy który z nich przewędrował dotąd, zdobili sobie smreczkowe biczyska nacięciami na korze. W czasie pogwarki Jędrus bardzo złośliwie zaczął powątpiewać w to, iż Kubuś sam, bez niczyjego towarzystwa zaszedł aż do Chochołowa na odpust. To tak boleśnie dotknęło Kubusia, że zerwał się z podłogi i przyskoczył do Jędrusia z zaciśniętą pięścią.

— Bedziesz mie bił? — zaognił się Jędrus.

— I cożby było?! — warknął Kubuś.

Od słowa do słowa; chwycili się pod gardła i zaczęli się wodzić po izbie. I byłoby niewątpliwie przyszło do jakiejś walnej bitwy między nimi, gdyby w tej chwili nie wszedł do izby Lejzuś z gorączkowo obmyślanym planem działania. Chłopcy, spostrzegłszy go, odskoczyli od siebie; Lejzuś nie wtrącał się do bitki. Chciał pogadać z Kubusiem a nie wiedział, jak zacząć, by się nie zdradzić ze swoich myśli. Powiedział tedy Jędrusiowi, że go ojciec szuka, a zostawszy sam na sam z Kubusiem, zadał mu pierwsze ważne pytanie, czy przypadkiem nie wie,—gdzie są gazdowie.

— Gaździna doją krowy — odrzekł Kubuś — a gazda, to nie wiem...

— Hm...

Lejzuś się zadumał.

— Kubuś... nie wiesz, był tu kto?

— Nikogo nie było.

— Ale musiał ktosi być — niecierpliwił się Lejzuś.

— Nikt tu nawet nie zajrzał.

— Jawor abo Brzezina — nie?

— Nie — powiadam. Gazdowie się ino powadzili, każde poszło w swoją stronę...

— Powadzili się? O co? Nie zmiarkowałeś?

— Gaździna gadała »tak«, gazda zaś »nie i nie«.

— Eh, wnet parobkiem bedziesz, a ciamajda z ciebie...

Lejzuś nie zdołał się jeszcze przekonać, że te przepytki na nic się nie zdadzą, gdy na dworze rozległ się wrzaskliwy głos bratowej — Wikty, wzywający Kubusia do zrobienia porządku w stajni. Kubuś w te razy zerwał się ku drzwiom.

Tak to pierwszy śmiały krok Lejzusia zawisł w powietrzu.

II.

Gdy do izby weszła Wikta ze skopcem mleka, Lejzuś miał ochotę wyjść, by z nią nie gadać. Lecz Wikta postawiła skopiec na ławce tuż koło drzwi i tam stanęła. Lejzuś zaś nie miał ani odwagi ani sił tak blisko koło niej przechodzić.

— Nic z tych krów nieporada wydoić — odezwała się najpierw Wikta.

— Dziś nawet krowy nie chcą być dojne — zauważył cichutko Lejzuś.

— O coż ci zaś chodzi?

— Mnie? O nic. Dziwuję się ino ludziom, którym zawdy musi o coś chodzić.

— Nie dziwuj się za bardzo. Światby skapał bez nich.

— Byłby nareście porządek—odciął się Lejzuś.

— Ani nie porządkuj tak bardzo, bo porządek stoi nie takimi, jak ty.

— Hoho! Wiem o tem. Gdyby tak wszystka ludzie byli tacy, jak ja — —

— Matko Boska! — przerwała mu Wikta — dyćby nie było co zjeść ani włożyć na siebie.

— Słusnie... Choć znowu dziwno mi, czemu to twój chłop chodzi obszarpany i głodny?...

— Pilnuj siebie. Do mojego chłopca się nie wtrącaj.

— A zatem nie wtrącający się do twojego chłopca — pytam, co ty wyrabiasz z moim bratem, bo Cypryan mi brat?

— Milcz! — syknęła Wikta.

— Obrałaś drogę łatwą na odpowiedź.

— Ty zaś obierasz drogi trudne, nierobie.

Lejzuś spostrzegł się nareszcie, że utarczka ta nie różni się już niczem od tylu dawniejszych, jałowych, nudnych i przebrzydłych. Chciał ją tedy zakończyć, ale tak, aby jego słowo było ostatnie. Czuł się głęboko drażniony zarzutem nieróbstwa.

— Lenistwo moje — zaczął tedy — nie krzywdzi nikogo, a to jest grunt. Moje lenistwo więcej ma wagi, jak twoje charowanie od świtu do nocy. Moje lenistwo ściąga nawet łaskę boską na ten dom.

— Alejzy! — oburzyła się Wikta.

— No! Dyć kiebym był podobny do ciebie — zapalał się Lejzuś — miałabyś pół tej chałupy, sadziłabyś, siałabyś na moim gruncie? Kosilibyście moje łęgi? Przecie to wszystko tak, jak wasze — i nie wymawiam, że moje...

— Patrzcie, jaki dobrodziej! — przedrzeźniała

mu się Wikta. — Nawarz mu, postaw miske pod nos, jak panu, a on będzie jeszcze wypominał. Cożby tu było z tego gruntu, jakby nikt na nim nie robił? Samo nie urośnie...

I wlekłaby się ta kłótnia chyba w nieskończoność, gdyby w tym momencie nie wszedł do izby zziębnięty od upału, znużony i zrezygnowany Cypryan, mąż Wikty, a brat Lejusia, chłop setny, dobiegający w leciech czterdziestki, choć z wyglądu znacznie starszy. Za nim wsunął się prawie niepostrzeżenie znany włóczykij i kręcinoż odrowąski, wygolony delikatnie, uśmiechnięty dziecinie Florek. Ledwie wszedł, zobaczył i zauważył już wszystko.

— Pochwalony Jezus Chrystus! — witał się uprzejmie a chytrze. Wikta ledwie raczyła go dostrzec. Bąknęła mu jeno przez zęby »na wieki« i w te loty zwróciła się do męża.

— No... byłeś? Przydą?

— Był. Przydą lada chwila.

Cypryan odpowiadał bezbarwnie i smutno. Lejuś śnać szukał jakiejś treści dla siebie w tem zagadkowem pytaniu i odpowiedzi, gdyż wpatrzył się w twarz Cypryana i Wikty wzrokiem badawczym i czujnym. Zdawało mu się, że wpadł

wreszcie na trop sprawców jego niepokoju i męki. Tak, był już pewny, że to pytanie i odpowiedź była związana z jego niejasną, otaczającą go dookoła sprawą. Nibyto zapraszał Florka, żeby usiadł, niby wypytywał się go, co słychać pod Grapą, lecz bacznie okiem śledził przedewszystkiem Wikte. Florek zaś, chudoba i nędzarz z gazdowską, szeroką miną, pytał troskliwie o zdrowie i powołanie wszystkich domowników. Lecz Wikta w okamgnieniu zbaczyła Florkowi, kim jest.

— Dawnoście tu byli, że się tak o nas rozpytujecie?

— A coż oni ci wadzą? — stanął w obronie Florka Cyprian. — Bój się Boga, Wikta, dyćś nie osa.

— Osa.

— Eh, co osa, to osa!... — dorzucił z rozkośszą Lejzuś.

— Przepytyuję pięknie — zaczął uniżenie Florek — ale też oswojona?

— Dyabła ta! — machnął ręką Lejzuś.

— Ou, to niepeć — skurczył się Florek.

— Ino se ze mną nie poczynajcie — syczała Wikta, a Lejzuś, jakby dosiadł karego konisia, dawał się już ponosić myślom i słowom.

— My z tobą skończyli — mówił — jeszcze cie na świecie nie było. Z czem tu poczynać, z czem—pytam?— I nagle, jakby nigdy nic, zwrócił się do Florka.

— Robicie te koła?

— Koła... koła — sapała Wikta, wychodząc z mlekiem do komory. Lecz w izbie nikt już nie zwracał na nią uwagi. I Cyprian jakoś wyjaśniał, gdy mowa zeszła na nowy, wypieszczony przedmiot.

— Jakoż? — pytał Florka z istotną ciekawością — będzie co z tych kół?

— Cicho-ze, cicho-ze — szeptał Florek tajemniczo. — Już-juz, ino-ino...

— E?

— Powiadam ci — zwrócił się Florek do Lejusia. — Jutro pewnie okroczę siedzenie; nogą raz — drugą dwa; raz — dwa; a koła idą — idą, lecą — lecą, mijają pola, lasy, wsie...

Florkowi stanęły radosne łzy w oczach. Chodził dokoła po izbie, naśladowując zabawnie ruch kroku na rowerze.

— Powiadam wam — gwarzył w zachwyceniu — jakem uwidział tego pana w Dunajcu na kółkach, jakem pomyślał, co to przecie za raj

boski na ziemi tak na tych kółkach mijać, mijać, lecieć...

— Kiedy wy zawsze to samo — przerwał mu Cyprian.

— Jako? — zapytał markotnie Florek.

— Gadacie, opowiadacie, a samej rzeczy nie powiecie.

— Rzecz sama to prawie nic — wypalił Florek. — Bo co? Dwa kółka, siedzenie, łańcuch. To nic. Ale samo pomyślenie!... To je dopiero radość...

— Radość, nim człek ręką nie dotknie — westchnął Lejzuś. Florek jednak nie wiedział na pewno, co tu odpowiedzieć na taką racyę.

— No, no... Może być — mamrotał niewyraźnie.

— To na nic — mówił Cyprian. — Co mi z radości, kie jej nie trzymam w ręce?

— Ba! A coż mi z radości, co nie ucieka? — medytował Lejzuś.

— E, bracie! — zwrócił się Cyprian do Lejusia — tak ci sie widzi. A ono życie — —

— Co życie? Życie tak, jak ja chcę...

— Tak? Hoho, bracie! Niech ci ta Bóg nie da tej prawdy, którą mam ja. Jeszcze nie za

stary. Młodszyś ode mnie. Jeszcze może przyjść czas, kiedy cie złączą wyciągać z prawd twoich młodych, jak ze studni topielca. Wyratują cie na czas, wyratują...

— Albo ja ich. Choć po prawdzie mówiąc, toby mi sie nie chciało babrać z nikim.

— To też. A oni sie pobabrają z tobą.

Ostatnie słowa Cypryana znów zaniepokoiły Lejzusia do głębi. Nie znał jeszcze dokładnego ich znaczenia, lecz czuł już ich grozę straszliwą, ich mściwy upór. Przekonał się prawie, że Cypryan coś wie, coś kryje przed nim. I byłby mu się może w tej chwili rzucił na szyję z błaganem o prawdę, lecz przeszkadzała mu obecność Florka, który z umiarkowaną prostotą rozdziawiał gębę, jak wrota, i patrzył z jakimś przedziwnie słodkiem niedowierzaniem w oczach to na Cypryana, to na Lejzusia.

— Moiściewy — zaczął wreszcie — już tak pięknie gwarzycie, jak z ambony. Nic a nic was nie rozumiem. Boście tak z tych kółek zleźli na jakiesi prawdy i zabaczyliście o rzeczy o sto ważniejsze.

— Zawdy tak bywa — ofuknął go Lejzuś.

— O to idzie — prawil Florek dalej prawie

szeptem — cobyście mi też, Cypryane, dali jeszcze jedno stare koło, bo tamto się ozsuło. Jutro pewnie-pewniutko będzie próba.

— Cożbym wam nie dał, dam — ino tak zabierzcie, coby Wikta nie widziała.

W Lejzusi obudził się znów duch przekory.

— Hahaha! — zaczął się śmiać — Wikta! Wikta — cysarz! Bodaj-że cie, Cypryan — aj bodaj... Hahahaha!...

— Śmieć się ciszej, cobyś wnet nie płakał za głośno — spokojnie i dobitnie odpowiedział mu na śmiech Cypryan.

I tak to drugi śmiały krok Lejzusia zawisł znów w powietrzu.

III.

Florek, wychodząc z izby, żegnał się z Cypryanem i Lejzusem tak, jakby miał za pół godziny odjechać przynajmniej do Ameryki. We drzwiach zetknął się jeszcze z Wiktą, której pokłonił się prawie do kolan i spojrzał na nią, jak na zapowietrzoną dyablicę. Równie z pod serca przypatrzyła mu się Wikta, która ostrożnie niosła w dwu kwiecistych, niedużych garnuszkach, świeże, słodkie

mleko. Jeden garnuszek postawiła przed Lejzusem, drugi przed Cypryanem. Lejzuś po prostu zdębiał. Cypryan oniemiał. Słodkiego mleka przecie się nie podaje byle komu i w byle jaki dzień. Po niepokojącej chwili zdumionego milczenia pierwszy Cypryan, wskazując na mleko, zwrócił się do Wikty niedowierzająco :

— Cóż to ?

— Trutka — syknął podejrzliwie Lejzuś.

— Zostało od dojenia — odrzekła Wikta z lek-
kim odcieniem niepewności.

— Dyceś gadała, że się krowy źle doją —
dworował sobie Lejzuś.

— U dobrej gaździny źle, to jeszcze dobrze —
rąbała Wikta.

— Chciałeś wiedzieć, no to masz — nieśmiało
odezwał się Cypryan do Lejzusia.

— Pij ! — zwróciła się Wikta rozkazująco do
Cypryana, który też natychmiast stulił uszy i za-
czął chlipać mleko, mlaskając i oblizując wargi.
Lejzuś patrzył na Cypryana z uczuciem litości
współczucia. Żal mu było brata, spracowanego
straszliwie, zahukanego przez Wiktę jeszcze bar-
dziej. Patrzył na jego duże, niezgrabne, czarne
ręce, na jego ogorzałą, zmęczoną twarz, szukał

treści w jego siwych, niedużych, znużonych oczach.

— Czemu zaś ty nie pijesz? — wyrwała go z zadumy Wikta.

— Czekam, aż Cypryan trupem padnie.

— Ja już padł — odrzekł Cypryan z przesmutnym uśmiechem. — Na ciebie, bracie, kolej.

— E! — machnął ręką Lejzuś, jakby chciał odpędzić złe myśli — mnie już chyba nic nie będzie. Baba, chwała Bogu, gazduje na tamtym świecie...

— Jak sie też nie wstydzisz tak gadać — karciła go Wikta. — Jak sie nie wstydzisz! Czy też to wszystka wdowcy tacy, jak ty — bo już nie wiem.

— Wszystka, wszystka...

— Wszystka, wszystka — przedrzeźniała go Wikta dalej — wszystka!... Trzydziestu років nie doszedł, a mamrota, jak dziad przy kościele. Pojrzałbyś se nareście za babą...

— Co?! Za babą? Ja? — Lejzuś nie mógł wprost zrozumieć, jak można mu było czegoś tak potwornego doradzać. Równocześnie jednak, niemal błyskawicznie otworzyły mu się oczy na przyczyny tych bezustannych kwasów i zwad w ostat-

nich kilku dniach. Tak, o niego szło, o Lejzusia chodziło. Patrzcie, patrzcie, ktoby sie spodział — medytował szybko. — Jeszcze mi baby brakuje — zaczął głośno. — Dłćem już miał jedną, aż za dużo...

Cypryan widocznie nie chciał być przy tej rozmowie, bo zaczął się plątać po izbie i szukać kapelusza. Lecz wystarczyło, by nań tylko Wikta spojrzała. Natychmiast usiadł, gdzie siedział. Oczy zwrócił ku oknu i patrzył w rozstłoneczniony sad, gdzie nieporuszone stały w ciszy południa dzikie jabłonie i grusze.

— Nie robiłbyś z siebie śmiechu! — znów przyganiała Wikta Lejzusiowi. — Daremnikujesz ino po próżnicy, niczego sie nie chwytasz. Z czemże ty staniesz przed tronem boskim?

— A coż tobie do tego? — wypalił Lejzuś.

— To mi do tego — prawila Wikta — ~~że~~ się boję kary boskiej. Bo kto miał sposobność zawrócić grześnika ze złej drogi, a nie zawrócić go, ten jeszcze większym jest grześnikiem w obliczu Boga, niżli sam grześnik.

— Chwała Bogu, kiedy tak, bo ja sie nawrócić nie dam, a ty pódziesz za to do piekła. Cypryan bedzie miał pokój choć na tamtym świecie.

— Nie kpij! Słowem boskiem nie poniewieraj! — groziła Wikta.

— Co sie to tobie stało? Kto cie to tak powydymał temi mądrościami? — zaczął już Lejzuś poważnie.

— Ja za wszystkich muszę myśleć i robić.

Lejzusiowi wykrzywiła się twarz ironicznym uśmiechem.

— Patrzcie, jaka orędownica! — zaczął. — Pomyślała przecie i o mnie.

— Pomyślała. I pytam sie ciebie — ja, twoja bratowa — poco ty żyjesz?

— Bo mi dobrze.

— Ale ja sie pytam, poco żyjesz?

— A ty poco?

— Ja? Ja mam gazdostwo, mam... będę miała dzieci — —

— No-no...

— Spełniam przykazania boskie, pracuję na chleb, który jem i który drugim jeść nieraz podaję...

— Odpadki — wtrącił Lejzuś.

— A ty co? Wylegujesz sie na słońku, przewracasz świat do góry nogami, mącisz, obśmiewasz, despetujesz, — i co z tego Bogu i ludziom? Co

zostawisz ludziom, z czem pójdziesz przed Boga?

Cyprian w czasie całej tej rozmowy siedział na małym stołeczku koło łóżka i kurzył fajkę, puszczając ogromne, kłębiaste i coraz częstsze dymy. Łowił każde słowo z jakimś tajonem głęboko przerażeniem. Drżał po prostu, by jego imienia nie wciągnięto znów do tej kłótni. Miał jej już dość od kilku dni. Wodził tedy oczyma za każdym błękitno szarawem pasmem dusznego dymu i zdawał się być pochłoniętym do cna tem mizernem zajęciem. Lejzuś zaś z coraz bardziej rosnącym rozdrażnieniem odparowywał gwałtowne ataki Wikty.

— Ludziom takim, jak ja — mówił — zostawię to, żem był. To dla nich dość. O innych nie dbam. A z czem przyjdę przed Boga? Bóg wszystko wiedzący wiedział już o tem, kiedy ani mnie ani ciebie na świecie jeszcze nie było. O to nie trza sie troskać.

— Zawdy takie twoje gadanie, jak cie do ściany przyprzeć. Ani be, ani me. Wałkoń!...

— Widzę, że miarkujesz, o co mi chodzi i chyba... trza wypić to mleko, bo sie zsiednie...

Lejzuś wziął garnuszek do ręki i wypił mleko

za jednym zachodem do dna. Cypryan uśmiechnął się mimo woli.

— Łykasz tę trutkę — rzekł.

— Otworzyłeś gębe? Siedź-że cicho — skoczyła nań Wikta.

Cypryan skulił się, jak pies, gdy oberwie kopnięcie od rodzzonego gazdy, Lejzuś zaś, otarłszy usta rękawem, zwrócił się znów do Wikty.

— Wiesz, Wikta, tyś szczerą. Kto raz miał babe, a potem po jej śmierci patrzy jeszcze na ciebie, ten wie, czego się trzymać. Toż to najbardziej rad widzę siebie za to, żem wam te pół chałupy odstąpił. Od tej chwili patrzę na ciebie i daję poziór na siebie. Ty najwyraźniej pokazujesz mi, ka niepeć, źle, ka bieda...

— No ? !

— Przy babie, z babą !...

— Hale ! Nie wymawiaj się tak strasznie, bo jeszcze nie wiesz, co cie czeka. Tu już po wsi gadają...

— Wiem.

Cypryan odchrząknął głęboko, wstał ze stołeczka i zamierzył wyjść z izby. Lecz Wikta zgromiła go tak wzrokiem, że natychmiast usiadł. Lejzuś pokiwał tylko głową i mówił dalej:

— Wiem, wiem, ale wiem mało; choć i to już za dużo, bo o tem nic wiedzieć nie chcę. Chcecie mnie ożenić!

— Ja nie — wtrącił głośno Cypryan.

— Coż, Judaszu, rozdziawiasz gębe? Czego? — wsiadła znów na Cypryana. Potem zaś do Lejusia:

— Sam ksiądz ci rai!

— Dobraś! Jeszcze tego brakowało!

Zanosiło się na wielką, piekielną burzę. Pomi-mo wszystko, Wikta przecież trzymała jeszcze język w ryzach; wierciła się po izbie, jak w największej złości, lecz słowa przebierała. To zanie-pokoilo Lejusia najbardziej. Czuł, że się coś święci i to nie byle co. To też wodził wzrokiem za oczyma Wikty, jak słonecznik za słońcem. Wikta zaś pozierała ciągle to na oborę, to na drogę.

IV.

Odezwało się nagle głośne stukanie do drzwi. Za drzwiami ktoś zakaszał głęboko i siarczyście. Lejzuś obyczajem światowym, patrząc ku drzwiom, zawołał:

— Wolno !

W te razy otworzyły się drzwi zacisznej, starej izby Stafierów, a na progu stanęli dwaj siwi staruszkowie o nosach orlich, o włosach długich, a białych, jak śnieg. Za twardymi, masnymi kapeluszami, strojnymi w drobne kostki orawskie, migotały im się długie, łyskliwe piórka z dzikiego koguta. Z pod białych, na szerokie ramiona zarzuconych cuh jarzyły się płomienne i zielone wyszycia na miękkich, kudłatych, chochołowskich serdakach. Byli ubrani w nowiuteńkie — nowe, niepokalanej bieli, z jasno błękitnym sznurem — portki. Kerpce raz chyba były dopiero maszczone starem masłem. Tak się wystroili Jawor i Brzezina, dwaj siwi staruszkowie, o nosach orlich, o włosach długich a białych, jak śnieg.

Wszyscy: i Lejzuś i Wikta i Cyprian podeszli ku drzwiom. Zapanowała uroczystość. Wszedłszy do izby, Jawor i Brzezina uchyłili lekko kapeluszków i pochwalili imię Jezusa Chrystusa.

— Na wieki wieków — odezwały się głosy domowników.

— Zdrowicie wszystka wraz ? — zapytał Jawor głosem uprzejmym i dwornym, a za nim Brzezina rzucił pytanie :

— Co tu słyszeć?

Wikta płaciła Bogiem za troskliwe pytania i wzajemnie wypytywała o zdrowie starców i ich rodziny mnogiej.

Zaczem Cyprian schylił się nisko i wskazał przybyłym siedzenie na długich, wązkich ławach, co popod dwie ściany izby biegły. Jawor zaczął chwalić stary dom Stafierów.

— Obszerne macie stancyje! — trząsł siwą głową.

— Po dwóch stronach! — wpadał w ton Jawora Brzezina.

— Po drugiej ta Alejzy siaduje — wtrąciła słodko Wikta.

— Lejzuś, Lejzuś, pociecha nasza! — zwrócił się Jawor z przesłodkim uśmiechem do młodego wdowca.

— Radość nasza! — klepał Lejzusia po ramieniu Brzezina.

— I gorycz wasza—nieśmiało wycedził Lejzuś. Nie zrobiło to jednak dużego wrażenia. Jenó Wiktę piknęło coś w sercu. Jawor zaś dalej podtrzymywał dobry humor, chwając Lejzusia.

— On zawdy umie pedzieć na przekór.

— Tak, jak i ja — wyrwało się Brzezynie.

— Co ? ty ? — Jawor spojrzał miłosiernie na swego towarzysza.

— No, a co ? może nie ?

— Oj, ty biedaku kochany —

— Coż wy se myślicie ? — bronił się Brzezina.

— Co se myślę ? To se myślę — zaczął Jawor — że odkąd towarzyszę z tobą — zaczkajcież — niebożyczki nasze pomarły będzie ze dwadzieścia roków — no to od tego czasu jeszczeż też ani jednego pięknego powiedzenia nie usłyszał od ciebie. No...

— Pewnie wam baba zabrała mózg do grobu — żartował Lejzuś z Brzeziny.

— Pewnie, pewnie ! — śmiał się Jawor. — Ono inaczej nie było...

— Coż to zaś ? Toście se tu przyśli dworować ze mnie ? Tu ? — pytał się Brzezina prawie ze łzami w oczach.

— A jakoż nie mam dworować, kiedyś ty ino ciemięga ? Nie wiesz nic...

— Ho ! Nie wiem nic, nie wiem nic ! — wykrzykiwał Brzezina. — Ja i tak wszystko wiem. Hoho ! Ja ino czasem tak jakosi nie wiem, że wiem. Ale jak ino co kto powie, to ja już wiem, że ja to wiedział...

— Bóg zapłać za takie wiedzenie — skłonił mu się Jawor. — Pieknie Bóg zapłać...

— E, co ta gadać. Kumoter Brzezina hań też nie głupi — próbował przegadać Cyprian.

— No przecie! — poświadczył se sam Brzezina.

— Oh, ty biedaku mój kochany — zaczął Jawor głaskać i całować Brzezinę. — Dyć śpasy śpasami... No — tu zwrócił się Jawor do Wikty i Cypryana — my tu do was po interesie...

— A śpieszno nam, bo w polach robota. Ludzie koszą, czasu nie trza zabierać — prawił Brzezina.

— Co nam też powiecie? — jakby nieśmiało zapytała Wikta.

— Wam nic. Lejzusiowi toby my mieli co pedzieć. Ale to tak na sucho...

Jawor zaczął silnie trącać Brzezinę, który też z błogim, niewinnym uśmieszkiem i nieporównanym wdziękiem wyciągnął z zawiązanego rękawa cuhy dwie litrówki wina i postawił je na środku stołu, stojącego w rogu izby. Lejzuś wstał ze stołeczka i spojrzał na siwych gości, poczem na brata i bratową. Lecz akuratnie w tej chwili wszyscy, jakby się głęboko w siebie zasłuchali, pochylili głowy i patrzyli spokojnie na czarną, ozłoconą lipcowem słońcem podłogę. Pierwsza Wikta ocknęła się. Po-

deszła do stołu i zaczęła na nim porządzić. Potem zakręciła się koło półki i migiem ustawiła przy flaszkach pięć drobnych kieliszków. Starcy wzdychali tymczasem ciężko i głucho, kurząc i plując setnie dokoła siebie. Cypryan jeden nie wiedział, co z sobą począć. Kręcił się niespokojnie na swym stołeczku, to spozierał ku oknu. Dusznio było w izbie.

— Coż to macie do mnie? — przerwał wreszcie tłoczącą ciszę Lejzuś.

— Napij się, Lejzuś, z nami; potem się zgadamy — odrzekł Jawor, powstając zwolna z łąwy. Zaczem zbliżył się do stołu i nalał wina do kieliszków.

— Nie będę pił.

Lecz Jawor stanął przed Lejzusiem i spojrzał nań długo i przeciągle swemi małemi, siwemi oczkami.

— Lejzuś! — zaczął — przy tym samym stole niejednen litr wina wypilem z ojcem twoim... Te ściany ojcowskie... rodowe patrzą...

Wystarczyło. Lejzuś wziął za przykładem wszystkich kieliszek wina, trącił się najpierw z Jaworem, potem z innymi i wypił.

— Uherskie wino — odsapnął Jawor.

— Grzeje — zauważył z radością Brzezina.

— Hehe, sprośniku jeden! — zaczął się Jawor śmiać. — Nic ta tak nie grzeje, jak baba — he? Baczysz?

Prócz Cypryana i Lejzusia, śmiech szarpał wszystkich za boki. Wikta śmiejąc się prawie do rozpuku, podeszła chyżo ku łóżku, zgrabnie wydobyla z pod zagłówka dużą, pulchną kukielkę i przyniosła ją na stół.

— Zakaście, moiściewy — zapraszała, krajając ją na delikatne kromki.

...O źle! — przeleciało Lejzusiowi przez myśl.

Jawor i Brzezina wyciągnęli skostniałe, trzęsące się ręce po kukielkę. Jedząc i popijając, Jawor patrzył łaskawie i przyjaźnie na Lejzusia.

— Ja se tak patrzę na tego Lejzusia — mówił — i żal mi go. Na zdrowie, kumotrze, na zdrowie wszystkim... Owdowiał wtedy, kie się mógł brać dopiero do żeniaczki. Markotno musi być biedakowi, bo jakoż? Pij, pij, Lejzuś...

— Bóg zapłać, nie będę pił — wzbraniał się coraz bardziej rozdrażniony Lejzuś. — A co sie tyczy tego, to ani sie spodziejecie, jak mi bez baby dobrze.

— Hale! To ci sie ino tak widzi, pokąd jest brat, pocziwa bratowa, niby Wikta...

— Dyć mu nieraz tak gadam— przyszła w pomoc Jaworowi Wikta.

— ...ale jak ci ich zabraknie, co poczniesz, sieroto? — Głos Jawora drżał dziwnie miękkim wzruszeniem.

— Nie zginę, nie bójcie się.

— Młodyś, chłopino, młodyś. Coż ty masz — pewnie ze trzydzieści ze trzy roki. Młodyś — jeszcze nic nie wiesz o świecie. Jaby ci dopiero pedział, co jest świat, co jest życie. Przeżyło się trzy baby, wszystkie się wykopyrtły, ja został. To je, bracie, štuka.

I Brzezinę porwała teraz chętka do przegadania.

— Ho, młodyś, młodyś — powtarzał za Jaworem. — Coż to jest: trzydzieści roków? Ja na ten przykład... na zdrowie, pićcie... ja miał jedno babe. Ale starczyła za trzy. A taką przeżyć, to jeszcze większa štuka. Wiesz, bracie?

— Postarzało się już, włosy białe, ziać chodzi po człeku — labiedził Jawor nad sobą. — Nie mam już mocy na babe. He, Boże ty mój, kieby była—dziśbym się żenił, a ty się żenić nie chcesz?

— Dajcież mi pokój, czego wy...

— Tak wej zawdy odpowiada — kiwała głową Wikta, z bolesnym wyrzutem patrząc na Lejzusia.

— Nic to. Wyszumi: baba mu sie zaleca ładna, gdowa majątna — adwokacił Jawor dalej.

— Nie plećcież głupstw; ani słyszeć o tem nie chcę — bronił się Lejzuś.

— Opamiętaj sie — powstała nań Wikta. — Powiadam ci, opamiętaj sie. Słychana to rzecz, coby baba pierwsza posyłała na namowiny?!

— Haj, haj — Brzezina nie mógł już dłużej wytrzymać, żeby choć nie pohajkać trochę.

A Jawor, nie zwracając na niego uwagi, dalej prawił poważnie i statecznie:

— Toż to musi być chyba do cna zalubiona w Lejzusi, skoro tak o niego stoi.

Ale Lejzuś miał już dość tej rozmowy.

— Choćby tu sama przyszła — wybuchł — choćby mi do nóg padła, nie żenię sie... no!...

— A wiesz ty, co to za jedna tak cie szuka? — mrugnął oczkiem Brzezina.

— No? Powiedźcież i to... To przecie musi być ciekawe...

— Nie podskakuj, Lejzuś, nie wydziwiał przed czasem — łagodnie zaczął znów Jawor. — Toż to gdowa młodzińska, tłusta, czerwona na gębie, ubita w sobie, cosi-kasi, baba, jak piec!...

— Magda Zimna z Działu — obwieścił uroczyście Brzezina.

— W imie Ojca i Syna, a niechże was sto dyabłów !...

Lejzuś porwał kapelusz i pędem, jak oparzony, wyleciał w pole. W izbie zapanowała ciężka, upalna cisza.

V.

Jawor zwiesił głowę i odsapnął głęboko. To samo zrobił Brzezina. Wikta rozłożyła ręce, jakby chciała rzec „niema już rady“, Cyprian zaś patrzył dalej w jeden punkt tak, jak i przedtem. Na płonącej słońcem podłodze odbijały się długie, liściaste konary drzew ze starego ogrodu Stafierów.

— Bedzie — zawyrokował wreszcie Jawor.

— Bedzie — powtórzył śmiało Brzezina.

I znów zaległa cisza zadymioną, starą izbę. Słysać było jeno jałowy brzęk much i bąków, które się tłukły po żółtych, kaprawych szybach malutkich okien.

— Bedzie ! — jeszcze pewniej wyrzekł Jawor.

— Bedzie ! — podniósł głos Brzezina.

— Cożby nie było ?

— Cożby nie miało być ? Bedzie.

— Bedzie... Ino sie trza zabrać do niego — zwrócił się Jawor do Wikty.

— Żywo — dorzucił Brzezina.

— Haj. Żywo. Był hań taki Staszek Kawula na Bielance, pod Wesołym Wierchem. He, Boże ! O takim, toście jeszcze nie słyszeli.

— Ktoryż to ? — spytała Wikta.

— Zje ten — objaśniał Jawor — co siedzi w kryminale, w Sączu.

— Ehe, ehe... Dyć mi nie trza dwa razy gadać — kiwał głową Brzezina.

— Nic i nic. Nie ożeni sie — powiada. Dobrzy ludzie sie znaśli, przycisnęli go grzecnie, ożenił sie.

— I zabił babe — głucho dodał Cypryan.

— O to chodzi, że sie ożenił — grzeczenie i dwornie zwrócił się doń Jawor — a co ta potem zrobił, to jego rzec... Lejzuś zasie jest lekkiego serca.

— Wezwyczai sie — mruknęła Wikta.

— Może sie i nie wezwyczai — medytował Jawor — Bóg i Panienka Ludzimierska wiedzą, ale jej nie zabije...

— O, co nie, to nie! — rzekł z przejęciem wznosząc rękę do góry, Brzezina.

— Ino z takim — rzeke — trza przynaglić.

— To już chyba róbcie tak, jako my ugadali. Jedzcież tę kukielkę — zapraszała Wikta.

— Bóg zapłać, Bóg zapłać...

— To sie, kumotrze, zbierajmy — spojrzał Jawor na Brzezinę.

— Trza iść...

Pomału i statecznie zaczęli się obaj kumotrowie żegnać i certować.

— Ja już przegadała z Magdą — mówiła Wikta, wyprowadzając starców. — Lejzuś sie jej widzi. To już jej śmiało powiecie, jako my uradzili, że was Lejzuś posyła...

— No — no! Już my haw wiemy, co gadać...

— Bedzie też to z nich para! — zaśmiał się Brzezina.

— Haj, haj — wtórował mu Jawor. — On jak patyczek, ona jak cis! No, z Panem Bogiem ostańcie! Wieczór bedzie odpowiedź.

— Z Panem Bogiem...

— Boże prowadź...

Może Jawor i Brzezina byli dopiero za węglem, gdy Cyprian zerwał się ze stołka.

— To jest okropa! — zawołał boleśnie.

— Odezwałeś się nareście? — Wikta stanęła przed nim oko w oko.

— Odezwałem się. I odzywam się, Boga wołając, coby tu zszedł i mścił się!

Wikta drgnęła tknięta lękiem.

— Ty! Ty kary przyzywasz?

— Przyzywam! Na ciebie przyzywam!

— Jezu! Cypryan... jak śmiesz?!

— Śmiem... Jasno już widzę... Jasno widzę — mówił Cypryan z rozdrażnionem skupieniem — że i ja jestem częścizną tej sieci okropnej, w którą się chyta dusze, aby je łamać, jak patyki na kolanie. Ale dusze mądrej nie złamiecie, ścierwa! Tom ino ja tak padł. Przez ciebiem padł, suko...

— Czego ty chcesz ode mnie, czego ty chcesz?

— Oddzielam cie od siebie — gorzko i boleśnie wyrzekł Cypryan.

— Ty mnie?

— Ja ciebie.

— Za co? Za to, że myślę i robię za ciebie? Za to? Zreśtą i tak o mnie nie dbasz—dodała ze łzami w oczach.

— Przejrzałem do dna myśli twoje. Wiem teraz, o co ci chodzi. Chcesz przyżenić Alejzego

do Działu, żeby ta chałupa była nasza, żeby te grunta wziąć od niego na mały spłat... po bratersku... żeby go wygnać!

— A tak, tak. Bo kto nie pracuje, to niech ustąpi temu, co pracować chce.

— Milcz! — groźnie zawołał Cypryan. — Jakże to twoi ojcowie obchodzili się ze mną? Dyciem tam robił, jak koń, a takiej nędzy, takiej poniewierki, jak na tym przyżenku u twoich ojców, u ciebie, nie zaznałem w życiu. Dopiero Alejzy, brat mój, tak, brat mój Alejzy sam przyszedł się politować nad nami. Tu jego chałupa i on tu ma prawo wypędzać nas, nie ty jego. On mnie ze wszystkiego spłacił, kiedym się żenił z tobą.

— A ja ci nie dała posagu? To ja se nic z tego nie mogę kupić, kiedy się nadarza?

— Tfu !... na twój posag — na ten gnój, z któregoś dotąd nie wylazła !...

Cypryan szarpnął drzwi i wyszedł z izby, jak z piekła.

VI.

Wikta odsapnęła głęboko. ...To pies, to pies — myślała o Cypryanie. — Boga przyzywa, oddziela

od siebie... pies ! A jak sie umiał zabrać do niej. Jaki był inny, kiedy sie żenił z nią. Tyle lat, tyle lat już minęło. Od rana do nocy kręć sie po izbie, po oborze, nie spocznij ani na chwilę — i co z tego ? co z tego ? — Wikta stanęła przed obrazem Matki Boskiej Ludzimierskiej i załamała ręce nad swą dolą. Załkała głośno. A posłyszawszy głębokie, tkliwe łkanie swoje, jeszcze tklawiej i miłosierniej jęła się litować nad sobą. Zaczęła płakać rzewnie na cały głos. Czegoż sie dochowała na tem gazdostwie ? Nawet dziecka nie mają ze sobą. Nawet dziecka. Cypryan ino medytuje i wzdycha, mruczy i stęka, włóczy się po obejściu, jak nieszczęście. Ani mu pochlebić, ani go przynęcić. Z Alejzym radzi. Alejzy mu starczy za wszystko. Za żonę, za kościół, za przykazania boskie, za wszystko. O Boże, Boże ! Żeby choć dziecko mieli... A tu Cypryan wziął se pasterzyczka, Kubusia, i — powiada — to jego syn bedzie. Przecie to okropa. Teraz ona chce gazdować na nowo, usunąć Alejzego z domu, coby jeno z Cypryanem być, coby go zrobić gazdą takim, jakimi są wszyscy we wsi — to Cypryan oddziela, kary przyzywa boskiej... Jezusie, Jezusie !...

— Ale zaczkaj, ja ci jeszcze wleżę za skórę ! —

pogroziła Wikta ku drzwiom, którei Cypryan wyszedł. W tej chwili drzwi się otwarły. Wszedł Kubuś.

— Wyganiać już krowy?— zapytał we drzwiach.

— Zelżyj chwile. Gorąc jeszcze, będą sie gziły. Nie widziałeś, ka poszedł stryk Lejzuś?

— Nie. Pewnie leży na słońku.

— Pewnie — potwierdziła Wikta, ocierając ostatnie łzy. — A gazda?

— Gazda wzięli grabie. Pewnie ku sianu.

Wikta spojrzała uważnie i długo na Kubusia. Może pierwszy raz spojrzała nań tak, odkąd Kubuś służył u nich. Zwidział się jej. Szesnastoletni to był obwieś, ale śmigły i smagły, jak smreczek. Z pod kapelusza jego łyskało dwoje dużych, czarnych, płonących oczu. Przez głowę Wikty przeszła straszliwa, nieodparta myśl o zdradzie. Niech Cypryan wie, co ona może. Niech wie, że w domu, pod jego dachem jest zdrada i pośmiewisko okrutne. Niech wie. Ona sama tak robi, coby wiedział.

— Kubuś, naści...

I podała mu setną kromkę kukielki. Kubuś ucałował rękę Wikty i zabrał się w okamgnieniu do jedzenia.

— Kubuś — przerwała mu Wikta jedzenie.

— Co ?

— Słuchaj, Kubuś... Powiedz mi, rad mie ty widzisz ?

— Cożbym was nie miał rad widzieć — mówił Kubuś, zając się kukiełką. — Dycieście gaździna dobra. Czy na święty Jan, czy przy jakiej większej niedzieli — poczęstunek od was mam. A i gaździe niema co pedzieć.

— Co ta o gaździe bedziesz plótł. Powiedz mi, czy rad widzisz mnie ?

— Dyć was rad widzę.

— Ale czy mie tak n a p r a w d e rad widzisz ?

— J a k o ? — z niepokojem zapytał Kubuś.

— G ł u p i ś — odpowiedziała mu Wikta.

Lecz Kubuś nie zmartwił się tem wyzwiskiem i zabrał się do kukiełki z jeszcze większem zacięciem. Po chwili milczenia Wikta znów przerwała mu jedzenie.

— Kubuś... a gonisz ty za pasterkami ?

— Eee... to hań Jędrus goni — zaczął Kubuś wstydliwie. Poczem podniósł głos i śmiało już opowiadał : — Czasem zaś, jak je o b a k a przyłapiemy, to...

— To co ? to co ?

— ...to je tak zobkładamy biczami po nogach, co raty przeraty!

— Głupiś...

I znowu nastała cisza. Kubuś myślał już wyjść na oborę, lecz Wikta nie dała jeszcze za wygraną.

— Kubuś — zaczęła — a rad mie ty widzisz?

— Dyć... powiadam...

— Ale nie tak, ba tak... wiesz... tak naprawde... czy mie rad widzisz?

Podeszła ku niemu. Kubuś zaczął tracić grunt pod nogami.

— Wiesz... tak — i przyklękła nagle, wzięła go ku sobie, wyszczerzyła zęby. — Pobośkaj mie...

— Jeee... na co? — zapytał Kubuś.

— No, no... no... pobośkaj...

Lecz Kubuś nie zmiarkował rzeczy. Wikta sama zaczęła go całować.

— No... no widzisz, tak... no całuj — — — wołała, tuląc jego głowę do piersi.

— Je deścież pokój — bronił się Kubuś.

— Całuj — —

— Bójcie sie Boga -- —

— Przyjdź do mnie w noc — —

— Taki gorąc! — sapał Kubuś.

— Przygarne cie — —
— Mgli mie, mgli — —
— Całujże, całuj — —
— Jezusie Maryo! E, kiż to dyabli?! — krzyknął nagle Kubuś, wrywając się z rozłożystych objęć Wikty. I nim gaździna zdołała powstać z klęczków, za pasterzyczkiem jej jeno się kurzyło: tak zmiatał.

VII.

Lejzuś, uciekwszy z domu, przebiegł cały Odroważ w górę i rozłożył się dopiero na małej, mchem, jagodnikami i paprocią porosłej polance, na Żeleźnicy, królowej lasów i gór, co ku Obidowej, ku porębskim Gorcom, i dalej idą. Południe przechodziło już zwolna w odwieczerz. Lipcowe, złote słońce rozpłomieniało błękitną, niepokalaną ciszę, co się rozlała głęboką, wonną dałą ponad Podhalem i Tatrami. Nie było ani jednej chmurki. Czasem jeno lekki, powiewny wiaterek wyskoczył skądś, z pod ciemno-zielonej gęstwy młodych smereczków, poigrał, jak dziecko przed izbą, poruszył gdzieś listek na drzewie, musnął spocone czoło Lejzusia i znikł, przepadł bez wie-

ści. Gdzieś ptak zaćwierkał i zamilkł. Dobrze mu było i ciepło. Więc rozchyłał dziobek, podnosił jedno skrzydełko do góry, ziewał i grzał się. Senność rozkoszna łaskotała jego drobne kosteczki. Znow zaćwierkał i znowu zamilkł. Tę samą rozkosz południowego rozleniwienia czuł w sobie Lejzuś, który zarzucił ręce pod głowę, przymknął oczy i grzał się. Lecz wnet się zerwał. Tuż koło niego przebiegła młoda, urodziwa nad cudo sarna. Nie dostrzegłszy człowieka, zatrzymała się poniżej, nad bulkoczącym radośnie potokiem i piła zeń łakomie zimną, ziołami pachnącą wodę. Lejzuś patrzył w nią, jak w tęczę. Wydała mu się taką prawdziwą doskonałością, takim wierutnem pięknem, że przyrównania już dla niej nie było. Nie było i nie mogło być. Podniosła długą, pieszczoną szyję z nad wody i spojrzała na Lejzusia.

— Oczy wy moje, sarnie oczy...

A ona nieporuszona, jak zjawia, stała lekko na gęstym, ciemnym mchu i zdawała się całować swemi ustami woń i parność lasu. Tak Lejzuś czuł. Tak było. I ogarnęła Lejzusia przesłodka, cicha tęsknota za czemś, co zjawia się nagle i daje nagłą, nieoczekiwaną rozkosz pozaziemską. Rozkosz widzenia. Z obolałego warkotem sza-

rzyzny serca powstała wreszcie niepokalana, przeczysta myśl: przytulić się do tej długiej, gładkiej szyi leśnego stworzenia i wypłakać się, wypłakać do dna tym złęknionym, czującym i wilgotnym oczom.

— Och! — jęknął Lejzuś głęboko.

A sarna w te razy drgnęła, podniosła główkę, uszy przechyliła ku ziemi, spojrzała dziwnie boleśnie na Lejzusia i zerwała się z miejsca. Zadygotały jeno smreczki ciemno-zielone, zadudniała spalona słońcem ziemia. Sarna przepadła w gąszczach, jak echo, jak jęk Lejzusia, który znów został sam; sam, jak był i jest od początku życia.

Sercem Lejzusia owładnęło uczucie strasznego osamotnienia w tej wsi rodzinnej, kochanej. Od małości był sam. Kiedy w Borach, tak widnych teraz w słońcu, rozłożonych przed Odrowążem szeroko - daleko między słowacką ziemią a Ludzimierzem, kiedy na tych spłowiałych pustaciach i beznadziejnych goliznach krowy za młodu pasał, był już sam. Z pasterzami nie umiał paść razem, a z pasterkami wstydził się przebywać, boby go wnet babiarzem nazwali. Siadywał pod Szczotkówkami między Odrowążem i Wróblówką, tam

siadywał nad wązkim, cichym potokiem i rzewnie płakał nieraz. Chciał iść do szkół. O papierach, o książkach jeno dumał, o światach myślał dalekich, a musiał gęsi zganiać do kupy i rachować krowie ogony. Widno i Szczotkówki stąd, ze Żeleznicy... — Stają spalone skwarną spiekotą, nagie i puste, jak młodość, jak młodość moja — szeptał Lejzuś.

Och, młodość, młodość.

Ojcowie siwi pomarli, legli na wieczny spoczynek. Ino im dęby — kasztany, jeno im buki i lipy nad głową szumią i płaczą i jęczą. Jeno im skowyt żałosny, żałosny skowyt trzech dzwonów na Dzień Zaduszny zapłacze: Och młodość, młodość ty, młodość...

Szło życie, życie leciało. Cyprian wnet się przyżenił. Do Spyrków poszedł gazdować. Lejzuś sam został w budynkach, na całej już ojcowiznie. Spłacił zgodliwie brata. I brat mu podał rękę. Sam został, sam.

Och młodość, młodość ty, młodość...

Przyszła raz wiosna w te strony przedziwnie ciepła, pogodna. Zazieleniły się pola, w ogrodach dzikie jabłonki, śliwy i grusze - staruszki zakwitły kwieciem różowem, kwieciem różowem i bia-

łem. Wieczorem dymy się snuły między chatami nizkimi, a nad łąkami, co kwitły, ponad lasami, na Borach, mgły się przytulne błakały, mgły-cienie, zwiastunki i zjawy. Miedzą od pola szedł Lejzuś, pamięta, jako szedł wtedy. Właśnie pod lasem siał jarzec, cały dzień boży siał jarzec. Wracał do domu i myślał, że sam jest, tak sam okrutnie. I nic nie widział dokoła, bo w serce zapatrzył się swoje — i nic nie słyszał, nic więcej, jeno szloch serca samotny. Gdy doszedł już do potoka, ktoś zaśmiał się długo, radośnie, ktoś zaśmiał się sercem i duszą, że śmiech ten serce ujarzmił i duszę. Była to Hanka Suchego, Hanusia to była Suchego. Stanął, zatrzymał się Lejzuś i spojrzał na nią uważnie. A ona się śmiała, jak wiosna, śmiała się, śmiała, jak dzwonki, jak dzwonki na hali dzwoniące. Słonko za góry już poszło, za lasy powędrowało, ale się łuną ostatnią, łuną czerwoną odbiło na białych licach Hanusi, co tak się śmiała nad wodą, jak wiosna, jak radość, jak rozkosz. I podszedł Lejzuś ku wodzie i objął Hankę Suchego, a Hanka jego objęła. Do domu pošli już razem.

Eh, byłoż to wesele, a na weselu goście!

Eh, byliż to drużbowie, a na drużbach bukiety!

Eh, byłaż to Hanusia, — ej była, była, była! Rok nie minął, gdy przyszła do domu. Rok nie minął, Hanusia umarła. Rok nie minął, rok jeden nie minął. A gdy w grobie leżała, gdy pod darnią już była, ktoś zaszeptał: umarła z tęsknoty. Serce, serce nieszczęsne, Lejzusiowe ty serce: dyć umarła z tęsknoty za innym... Taka wieść się rozeszła, wieść straszliwa, jak grad... Serce, serce nieszczęsne, skamieniało, spękało, w proch poszło... Serce, serce Lejzusia... I zapatrzył się Lejzuś na gwiazdy, bo mu gwiazdy siostrami już były. I zapatrzył się Lejzuś na miesiąc, bo miesięczna noc żoną mu była. Och, zapatrzył się Lejzuś na słońce, słońce bratem być chciało Lejzusia. Potem w serce swe spojrzął i w duszę i znikomość światową zobaczył. I zapłakał straszliwie i zaśmiał się okrutnie i położył krzyż nad doczesnością. I nad potok raz poszedł, nad ten potok, gdzie Hanka się śmiała...

— Wodo, wodo przezczysta — szeptał Lejzuś bezradnie — wodo jasna, łzo ziemi, łzo moja... Wodo, wodo niebieska, skąd wychodzisz, gdzie idziesz, chłodna wodo, upojna, spokojna...

Wodo, wodo — masz serce, ochłódź serce znękanе, zabierz serce, to serce weź moje... Wodo,

wodo weź myśli, myśli moje weź z sobą i do morza, za morza je odwiedź... Wodo, wodo—spokojność cichą, dobrą spokojność przynieś wodo spokojna, upojna... I zapłakał straszliwie i zaśmiał się okrutnie i położył krzyż nad doczesnością.

— Bracie, słuchaj — rzekł kiedyś — Cypryanie, mój bracie... Weź swą żonę, dobytek i wszystko... Pod mą strzechę ją sprowadź, uprawiajcie mą ziemię, już gazdostwo i wszystko mi zbrzydło. Jeść mi dacie, — nic więcej, jeść mi ino podacie... A gdy będę umierał, gdy już będę umierał, twoim dzieciom, mój bracie, dam wszystko... I dobytek i dom i budynki i tę ziemię rodzoną, ojcowską... Jeść mi dacie tymczasem, nic więcej...

I brat przystał. Pomału, lecz przystał. Bo brat wierny jest sercu Lejzusia. Teraz piekło...

Lejzuś otworzył oczy. W dali, w dali płonęły szczyty Tatr w rozslonecznionej, złocistej topieli. Całe Podhale było w słońcu. Tak cicho, tak dobrze... A tuż u stóp Żeleźnicy, na której leżał, ciągnął się w dół, aż ku Borom, Odrowąż. Dwa wązkie, długie rzędy chat, rozsiane tu i owdzie w większe gromadki, zieleniły się wonną, dojrzewającą radością lata.

— To jest ta wieś, w której dojrzało moje

życie — pomyślał i zapłakał szlochem głębokim i gorzkim.

VIII.

Od gościny Jawora i Brzeziny zapanował w domu Stafierów nastrój gorzkiego, aż nazbyt, wymownego milczenia. Lejzuś wróciwszy z Żeleźnicy, nie wszedł do czarnej izby, nie jadł nic, zamknął się po drugiej stronie domu i położył się spać. To samo Cyprian. Nie przegadał ani słowem do Wikty, nie tknął się jadała, chodził jeno długo koło domu i medytował. Przyszła noc. Lecz i noc nie zmieniła nic. W sobotę rano Lejzuś próbował jeszcze myśli pozbierać, by zdać sobie sprawę, co to zaszło wczora. Czuł się zgoła bezwładnym. Najchętniej położyłby się na słonecznej polanie, zarzuciłby ręce pod głowę i niechby już wszystko w życiu szło tak, jak te chmurki-baranki po niebie. Słońce zeszło już dobrze z południa i Lejzuś dopiero teraz spostrzegł się, że dzień przewalał się i przemarudził koło domu. Wyszedł wtedy na drogę i wsparł się o płot ogrodu. Patrzył niby w ogród, niby poza ogród, daleko a blisko — niewiadomo, gdzie i dlaczego. Widział, że na gru-

szy rumienią się gruszki, na starej, dzikiej jabłoni kwaśne jabłka się grzeją, widział karłowate, niepłodne śliwy — i coś z tego, kiedy nie widział ich naprawdę. Chwilami zdawało mu się, że ten ogród i drzewa w nim i słońce ponad nimi są namalowane na jakimś dziwnym obrazie, który Lejzuś pewnie gdzieś widział, lecz nie wie, gdzie. Tam widział wszystko dokładnie i pewnie.

— Boże, co to sie dzieje ze mną...

Powiał wiatr ciepły i cichy i pogłaskał go łagodnie a słodko po twarzy. Lejzuś wsparł rękę na kuliku, na ręce głowę i poddał się mgławemu, niepojęcie spokojnemu zapatrzeniu. Oczy miał szklanne...

A na oborze, tuż za drogą, którą Lejzuś przeszedł, Kubuś i Jędrus, pogodzeni już po wczorajszej bitce, omawiali gorąco i długo jutrzejsze święto Maryi Magdaleny — odpust w Odrowążu. Smutno im było, że święto zbiegło się jakoś z niedzielą. Jednak trza było pogodzić się z tem. Obecnie chodziło o to, ile który z nich ma pieniędzy i co za nie kupią. Pieniędzy było niewiele, zachcianek zaś sto tysięcy i jedna. Rozmowa ich, z początku głośna i hałaśliwa, wnet przemieniła się w pełne zaufania szepty. Lejzuś nie zwracał

na nią uwagi, od płotu przykazał jeno Kubusiowi, żeby wnet wygnał krowy na skoszoną łąkę, jako że przed odpustem i w sam odpust bydła nie pędziło się do Boru. Koło domu pół godziny starczy bydłeciu za pół dnia skubania na jałowych, gminnych pastwiskach. Kubuś wiedział, co miał robić. Tymczasem zaś ciągnął Nielitościwie Jędrusia za obszarpany rękaw i rozglądając się dokoła, szeptał :

— Wiesz co, bracie ?

— No ?

— Co ci powiem, to ci powiem, ale ci powiem.

— No ?

— Trzaby pomyśleć o życiu — skwapliwie i z bardzo przezorną miną wyrzekł Kubuś.

— Jako ? — Jędrus go nie rozumiał.

— Ano... żeniłbym się...

— E best ! Z kimże takim ?

— Z babą.

— Dyć wiem, że nie z chłopem, cożybyś z nim robił, ale z kim ? Z którą babą ?

— A nie powiesz nikomu ? — znów tajemniczo zaczął Kubuś.

— Cożbym ta miał gadać...

— No to... zadusuj się...

— Na mój dusu, nie powiem — Jędrus uderzył się w piersi.

— Ale wiesz, zadusuj się już tak — no — Jezus Maryjo !

— Na mój stu prawdu, nie powiem — i Jędrus uderzył się znów w piersi, ale tak mocno, że aż w nich zagadało. Wtedy Kubuś nachylił się do jego ucha i zaczął :

— Żeniłbym się... z babą...

— Ale z jaką? — niecierpliwił się Jędrus.

— Z taką babą, co już ma chłopca.

Pasterzyczkowie spojrzeli teraz po sobie tak, jakby się dopiero pierwszy raz w życiu zobaczyli :

— Co już ma chłopca? — powtórzył Jędrus po chwili. — Hm... a coż ona z nim robi? Kaz go podzieje?

— Co? Hoho, mojeś ty! — górnij zaczął Kubuś. — Ja już mam wszystko w głowie. Trza znać paragrafy.

— Jakie paragrafy?

— Coż ja ci będę gadał, kiedy ty i tak tego nie wymiarkujesz. Ka ta jeszcze tobie do żeniaczki. Telo ci ino powiem, że są takie paragrafy w rządzie, co wszystko mają na oku. To taki paragraf,

bracie, tak jest poukładany, coby był dobry, jak komu trza.

— A chłop sie to zgodzi?

— Musi. Niema rady.

— A jak sie nie zgodzi?

— To go stąd wyrzucę i sam zostanę z jego babą.

Kubuś tupnął sobie nogą tak zapalczywie, że aż zadudniało.

— Kogoż to chcesz tak gwałtem wyrzucać? — zagadnął go nagle Lejzuś, który przysłuchiwał się ostatnim słowom rozmowy i podszedł bliżej. Jędrus widocznie zrozumiał dobrze wielkie plany Kubusia, bo z nadejściem Alejzego w okamgnieniu uciekł. Kubuś zaś, zmieszany niespodzianem pytaniem „stryka“, plątał się w słowach i wykrętach, tracąc coraz wyraźniej grunt pod nogami.

— Ja... ja ino tak... na ten przykład...

— Na ten przykład? A ogony krowom umiesz zrachować?

— A wy umiecie?! — zawołał Kubuś bezczelnie na cały głos, gdy się już tyłem zdołał wycofać za płot obory.

— Coż ty se...!

— Hale!...

Za Kubusiem tylko się kurzyło. Alejzy powstał, powstał na miejscu, popatrzał za nim i zawrócił do izby. Czarną ominął, wszedł od razu do swojej, po drugiej stronie sieni. Spotkał tam już Cypryana, który siedział koło stołu i trzymał w rękach chłopską gazetę, lecz jej nie czytał.

— Nawet Kubuś tu coś penetruje — zaczął Lejzuś, zamykając drzwi za sobą. Cypryan machnął tylko ręką.

— Śmiech zbiera — dodał Lejzuś.

— Litość, ale już takie najgorsze politowanie — wyrzekł z głębokim westchnieniem Cypryan.

— Widać Wikta chce zazdrość obudzić w tobie.

— Obrzydzenie chwyta za gardło...

Lejzuś podszedł ku oknu i znów patrzył niby w ogród, niby poza ogród, daleko a blisko, widząc i nie widząc.

Cypryan przewracał kartki gazety bezwolnie i nawpół świadomie. Ciszę przerwał znów Lejzuś.

— No... i jakże to teraz będzie z wami? — zapytał.

— Tak, jak było. — odrzekł Cypryan spokojnie. — Z daleka. Nie wypędzę jej przecie z domu, skorom ją wziął za żonę.

— A jabym wygnał...

— Więcej się tu umęczysz teraz, niżli na wygnaniu. Rozbiłem jej wszystkie nadzieje. To dość. Jest uwiązana do mnie ślubem i bez nadziei pożycia ze mną.

— To się rozuzda...

— Zgryzoty ją zagryzą wtedy. Wierzy... ona przecie wierzy... w Boga — dodał Cyprian głucho.

— A ty już nie?

— Wierzę... wierzę mocno...

Cyprian tak wydobywał te słowa z siebie, jakby z głębokiej, zawrotnej topieli. Nastąpiła znowu cisza. Lejzuś, stojąc na środku izby, patrzył na swego brata z niezgłębionem współczuciem i tajoną, dziwną czcią.

— I jakżeto bedziesz gazdował z nią pod jednym dachem? — zapytał Cypriana.

— Mam pole, siano, konia, las...

— Niemało.

— Dość.

— Aż dziwno mi, skąd się to wzięło w tobie... to wszystko...

— Z męki, z tej samej udręki, z której powstała ta twoja... taka letkość smutna...

Znowu zamilkli bracia. Głos im się zaczął ła-

mać i chwiać, łyzy gorzkie a ciche buchały z pod ich obolałych serc.

— Pocoś sie żenił z nią? — załamał ręce Lejzuś.

— A pocoś sie żenił ty... z Hanką Suchego? Poco?

— Poco, poco... — wzruszył Lejzuś ramionami bezradnie. — Mus taki jakiś był, zawrót głowy, czy co...

— Nawyk to był, obyczaj... Tak sie tu wszystka żenia. I ojcowie i dziadowie nasi tak sie żenili, — wszystka, wszystka — kiwał głową Cypryan.

— Dla gazdostwa.

— Dla obory.

— A potem więdnie wszystko, schnie...

Jałowa i smutna szarzyzna życia codziennego zajrzała obu do oczu. Cypryan wsparł ciężkie swe ręce na twardych kolanach i wtłoczył w nie znużoną, ponurą głowę.

— Coś sie tak zsepił? — budził go z zadumania Lejzuś.

— Ciężko mi. Tęskność przyległa serce, jak skrzyżal.

— Ciężko.

— Jakby szarość jaka zalała krew.

— W szarości, jak w topieli, zatonie naród
chłopski.

— Jęczeć — wstyd ; skarżyć się — niema komu.

— Zostaje śmiech. Śmiech wybawiciel...

— Ten śmiech twój, bracie — Cyprian spoj-
rzał na Lejzusia — ten śmiech twój niczemu nie
przeciwny, miły mi. Ale i z nim żegnać się czas.

— Czemuż to ?

— Bo albo ja, albo ty stąd pójdziesz...

— Z ojcowizny ? ! Nigdy !

— Ani ja, ani ty nie zmożemy naporu musu,
który osaczył ten dom...

— Siekiere chwycę w garść — podniósł głos
Lejzuś.

— Wyrwą ci ją. Wikta wojuje z tobą, z nami.

— Wikta !...

Lejzuś rzucił się ku drzwiom, by ją zawołać.
Lecz gdy je otworzył, stanął przed nim spity do
cna i pełen anielskiej radości w oczach — Florek.
Chwiał się na cienkich, chudych nogach, jak bia-
łopienna, śmigła brzoźka, gdy ostry wiatr na nią
uderza. Prawą rękę wzniosł w górę i zaczął gro-
zić dobrotliwie Lejzusiowi, który nagle zapomniał
na chwilę, co właściwie miał zrobić i cofnął się

mimowolnie na środek izby. A Florek szedł za nim, zataczając się śmiesznie i grożąc palcem bez przerwy.

— Dobrze popołudnie! — wyrzekł wreszcie z wyszukany wdziękiem na cały głos.

— Ktoż was zaś tak nauczył? — z nieokielżnanem zaciekawieniem zwrócił się do niego Cyprian.

— Hehe! — Florek się rozkroczył szeroko — hehe! Z panem pił, po pańsku gadał — —

— Pewnie z organistą! — huknął mu nad uchem Lejzuś, który rozdrażniony do najwyższego stopnia biegał tam i sam po izbie.

— Maturalnie! — zaśmiał się Florek dobrotliwie.

— To wy już dziś zaczynacie? Nie czekacie jutrzejszego odpustu?

— E, Cyprianie, babski odpust. Co to, moiściewy. Dla grześnic uciecha — filozofował Florek. — Biedna święta... ta — jakoż jej tam? — biedna Maryja Magdalana będzie chyba musiała pójść do spowiedzi po tym odpuście...

— A coż z próbą? — zagadnął go znów Lejzuś.

— Co? Pró... pró-ba? — Florek poskrobał się po głowie, nie wiedząc, co odrzec. Wreszcie, jakby sobie nagle przypomniał: — Próba!... — zawołał — ej!... próba...

— Nie udała się — dworował z Florka Lejzuś.

— „Maturalnie“...

— Nie krakajcież... Cożeście się tak oba uwzięli na mnie? No, coź robić? co robić?! — Florek rozkładał ręce i labiedził płaczliwie nad nieudaną próbą. — Jadę, jadę — tu zaczął Florek odpowiednio przebierać nogami — jadę i znowu się koła ozfyrkły... Jedno w przód, drugie w zad...

— A wy prosto do karczmy — docinał mu Cyprian.

— Ale też było po co! — tryumfalnie wzniośł Florek głowę do góry.

— No?

— Wiecie? Byłbym nawet nie wiedział, jako się nazywa to, com robił. Jakżeto... no... Ro—rower, na mój sto dusiu — rower!...

— I coź z tej nazwy? — Cyprian drażnił Florka dalej.

— Jaktó co? Pan organisty zapowiedział, co se będę miał sławę, hyr pójdzie o mnie po świecie — wiecie?

— Ej, Florek — pogroził mu palcem Lejzuś — prześliście las, a zbłądźcie w krzakach.

— He... zazdrość ci? Zazdrość ci? — rozpajedził się Florek. — Mójeś ty, pan organisty

opisze wszystko w gazetach... Jako ja zrobił ten... no!... rower — jako on je jest już-już lada dzień gotowy, jako ja jest ten... jagże mu to?... ten... włościanin polski in... inteligentny... rodzimy...

— Patrzcie, patrzcie — dziwowali się Cypryan i Lejzuś. — Istne cuda. Ale trza będzie i to opisać, jakoście zmiatał z kółkami przed Wikta.

Na samo wspomnienie Wikty Florek zadrżał cały i spochmurniał od razu. Zdawało się, jakoby spadł na przebrzydłe śmietnisko z jakiejś słonecznej góry marzeń.

— Coż sie tak trzęsiecie?

— E, i ty sie też trzęsiesz, Lejzuś, i ty też... Ale co sie tyczy mnie, tom se też przybaczył, pocom tu przyszedł... Mościewy, albo ty, Lejzuś, albo wy, Cypryanie — pożyczcie mi... szóstki.

— Szóstki?

— No... szóstki, szóstki. Bo też — widzicie — zabrakło mi u żyda dudków i zabrał mi hycel pejsaty fajke.

Niestety; ani Lejzuś, ani Cypryan szóstki nie mieli. Lejzuś od trzech lat centa nie widział. U Cypryana zaś gazdowała pieniędzmi zawsze i wyłącznie Wikta. Co tu począć? Wszyscy zwiesili głowy i zaczęli snuć różne plany, jakby tu tę

szóstkę zdobyć. Wreszcie sam Florek wpadł na świetny pomysł. Zataczając się i kolebiąc na wszystkie strony świata, podszedł ku łóżku Lejzusa, pod którym stała duża, pleciona koszałka. Pomału i opaternalnie wyciągnął ją stamtąd na środek izby i zaczął w nią siarczyście dmuchać. Z koszałki buchły na całą izbę plewy. Pod plewami były — jaja.

— Dejcie mi pięć, będzie akuratnie...

Cypryana porwał wesoły, beztroski śmiech.

— Weźcież, coby ino... Wikta...

— Hoho — ja wam oddam. Ja wam wszystkie pięć jutro przyniesę... Mnie baba da...

— Czy wam też da? — wątpiaco zwrócił się doń Lejzuś.

— O, da! Moja baba nie Wikta! Moja baba, to — wiecie — moja baba. Dyć ona mi kółka pomaga robić, choć sie ta z niej pośmiewają — wiecie? Bóg wam też wielki zapłać, trza po tę fajkę, bo mi sie strąśnie chce kurzyć. Tak mie suszy... Bóg zapłać, moiściewy... Ho! Moja baba, to baba — —

I chwalać swoją babę, Florek gmerał rękoma dokoła siebie i powoli opuszczał jedynych swoich przyjaciół w Odrowążu. Gdy wyszedł już poza dom, bracia spojrzeli sobie w oczy.

— Żeby ten człowiek wiedział o swoim szczęściu!

— Tobo go nie miał — dokończył Lejzuś westchnienie Cypryana.

— Zawdy tak powiesz coś. I skąd... jak... skąd tobie takie myśli sie mówią?

Ale Lejzuś daleko już był od tego, co powiedział. Twarz skurczyła mu się boleśnie, cierpienie kłóło go w serce ostro, straszliwie. W oczach zakręciły mu się łzy.

— Słuchaj, Cypryan — zaczął dziecinnie — słuchaj, broń mie, nie daj mie, tyś mi brat... Ja muszę raz skończyć z tą Wiktą — dopomóż...

— Co tobie?

Lejzuś stanął w tej chwili przed bratem i popatrzał w jego oczy głęboko, głęboko. Powstrzymał łzy, załamał ręce, a potem nagle, jak piorun, wybuchł szalonym, nieokiełznanym śmiechem.

— Alejzy! — jęknął przerażony Cypryan.

— Idź, idź — tyś taki sam, jak ja... Ja sam sie z nią rozprawie — z tą suką —

Lejzuś skoczył ku drzwiom i przez sień, jak wicher, pędził do czarnej izby. Wikta stała przy piecu z zakasanyimi rękawami. Parno tu było, jak w łaźni. Gaździna śnać na odpust piekła chleb żytni i żółte, z kupnej mąki baby.

— Jezusie Maryjo ! — krzyknęła, spotrzegłszy Lejzusia w drzwiach. — Co się stało ? !

— Mam do ciebie interes ! — odrzekł Lejzuś, zapierając za sobą drzwi.

— No ? Ażem się złąła...

— Prosto i otwarcie, bez cygaństw !

— Czego chcesz ?

— Nie kłam !

— Jezusie Maryjo ! Co tobie ?

— Kłamiesz !

— Dyciem jeszcze słowa nie rzekła.

— Aleś już skłamała.

Lejzuś odsapnął nieco. Straszliwe, obłądne uniesienie zamroczyło mu oczy, wzburzyło i rozpało krew. Drżał na całym cieie.

— Zawadzam ci tu — rzekł wreszcie prawie ze łzami w oczach.

— Nikt mi tu nie zawadza. Twojego dobra chcę.

— Nie kłam. Tak się poukładało, że co mnie dobrze, tobie źle. Chcesz mnie stąd wygnać.

— Chcę, cobyś nie robił wstydu domowi.

— Chcesz, coby się przyzenił do Działu, do Magdy Zimnej...

— Młoda jest, bogata — —

— Ale na nic zamysły twoje !

— Tu cała wieś nie może patrzeć na twoje daremnikowanie. Zreśtą... przepadło !

— Jakto... przepadło ?! Jak ty... jak ty... bez mojej woli... jak śmiałaś ? — Lejzuś posiniał cały.

— Śmiałam.

— Dyć ja cie, ścierwo psie ! — —

I oszalały z bólu i wściekłości Lejzuś wzniósł tuż nad głową Wikty twardą, kościstą swą pięść.

— Wara ci ode mnie ! — odepchnęła go Wikta.

— Ja cie... ja cie — prawie obłądnie mamrotał Lejzuś — ja cie... ty !...

— Waruj ! Za mną wieś cała stoi ! Moja tu prawda na wierchu !

— Twoja... hahahaha... twoja prawda !...

Lejzusia porwał znowu dziki, piekielny śmiech. Wsparł się o krawędź łóżka i śmiał się, śmiał się potwornie, jak szatan, jak złe. Wiktę przeszedł zimny dreszcz śmiertelnej trwogi ; zaczęła się powoli cofać ku drzwiom.

IX.

Jak długo stał tak, wsparty o łóżko, jak długo trząsał nim śmiech szalony, Lejzuś nie wiedział.

Gdy wreszcie przyszedł do siebie i przetarł oczy, czuł się bezwładnym i wyczerpanym do cna. W czarnej izbie był sam. Zmrok zaczął zwolna zapadać. W całym domu panowała spokojna cisza. Hykając jeszcze, Lejzuś przeszedł się pomalutku, wspierając się o ściany i zawarł się w swojej izbie. I tutaj nie było nikogo. Siadł na niskim, małym stołeczku i zapatrzył się w ścianę. I widział ją i nie widział jej. Oczy miał szklane... Z tego zapatrzenia obudził go dopiero markotny głos Brzeziny, który wsunawszy głowę do izby, pytał o Jawora. Lejzuś niemrawie odpowiedział, że o Jaworze nie wie nic.

— Bo to już niby czas, jako było umówione — zaczął Brzezina.

— Co było umówione? — cicho i bezwolnie pytał Lejzuś.

— No niby względem tego, co się tyczy... Siedzieli my se oba w karczmie, pozierając, skoro ta Magda pojedzie, aż mi kasi przepadł. Szukam i szukam, niema go. A tu już niby czas...

— Na co czas?

— No niby względem tego, co się tyczy...

Brzezina nie mógł sobie znaleźć miejsca. Kręcił się po całej izbie, jakby go kto biczem popędzał.

Wreszcie znów podszedł do Lejzusia i spojrzał nań łaskawie.

— Kiebyś nic Jaworowi nie pedział, tobym ci powiedział — —

— Eh — machnął Lejzuś ręką.

— ...że mi cie, Lejzuś, żal... Po prawdzie rzec, choćby i człek miał jeszcze jaką-taką moc w sobie, to przecie żenić się nie warta. Za dużo hałasu, a i piekła w chałupie po takim — dajmy na to — ślubie. Choć znowu na ten przykład Magda... haha!... mójś ty...

— Dajcie pokój, dajcie pokój — przerwał mu Lejzuś. Lecz Brzezina prawił swoje dalej.

— Dyć nic... Ino co sie tyczy Magdy, to ci powiem, bracie, że mi sie wczora nie chciało z Działu odchodzić. Ino z uwagi na ciebie — Brzezina zaczął mrugać lewem okiem — ino z uwagi na ciebie unikało sie grzechu. Bieluśka na rękach, jak pani, tłusciutka, okrągła... a i serce miętkie... o, miętkie...

— Dajcie pokój, dajcie pokój — przerwał mu znów Lejzuś.

— Dyć nic... Ja ta nie mówię niby na to, co-byś sie zaraz żenił. Ale pośpasować z nią, hehej!... Boże ty mój... Co to tam za gorąc — co to

tam — — — Co to tam za ręce okrągłe, szyja —
i to wszystko... co to tam... co to tam...

Brzezina wzniosł w górę swe siwe, malutkie oczka i stare, trzęsące się ręce i trwał tak dobry moment, jakby w anielskim zachwyceniu. Tymczasem mrok zasnuwał szarą, nieuchwytną mgłą przestronne wnętrze izby. Lejzuś siadł pod oknem i zwiesił głowę. Poddał się znów przesmutnej, cichej zadumie, która weszła do izby wraz z marnującym zmrokiem. Brzezina, który tuż obok niego stał, wydał mu się jakimś dziwnym, nieznanym cieniem. I wrażenie to utrzymywało się coraz bardziej w myślach Lejzusia, gdyż nagle ten siwy kręcił i wyga zamilkł i westchnął głęboko. Po momencie wydało się Lejzusiowi, jakoby więcej jeszcze takich cieni zaczęło się snuć po izbie. Słysząc było jakieś widmowe szepty, a nawet głosy dalekie, a bliskie, obce, a znane. Ocknął się wreszcie niemal przemocą i zawołał złęczonym głosem:

— Kto tu?!

— Pochwalony Jezus Chrystus...

I zobaczył Lejzuś silnego i wysokiego chłopca, który szedł ku niemu od drzwi z wyciągniętą do powitania ręką. Za nim sunęła cicho, tak, że kroków jej słyszeć nie było, leciwa już kobieta.

— Kto to ? — powtórzył Lejzuś.

— Nie poznajesz ? Dyć chrześni twoi...

— Chrześni ?

— Chrześni, chrześni... Dyć to ja, Bulcyk, dyć to kumoska, twoja chresna, Mostowa...

— Witajcie ; coście tam nasłuchali ? — Lejzuś podniósł się i ucałował z czcią ręce chrzestnych.

— Zje, cożby my haw... Zje radujemy sie, żeś zawrócił...

To mówiąc, chrzestny ojciec, Bulcyk, kładł już na stole po litrze wina i wódki. To samo chrzestna matka, która dołożyła jeszcze ogromną, plecioną kukielkę.

— Coż to ? — wskazując na dary, jakby ze snu wyrwany, pytał Lejzuś.

— Hoho ! Mójeś ty !

— Biedaku mój, ja zawdy twoją strone trzymała. Sieroto moja... — I chrzestna matka zaczęła tulić i całować Lejzusia.

— Dyciem gadał, że z Lejzusia będą ludzie — przychwalał chrzestny.

— Hohohoho ! Jacy ludzie ! — przyłożył Brzezina. — Ino, wiecie, opatarnie ; z Lejzusiem trza opatarnie, obcesem nie — cicho pouczał Brzezina

przybyłych.—Jakisi je jest markotny, słabowity — dodał głośniej.

Znów uchyliły się cicho drzwi i znowu stanął w nich człowiek. Pochwalił Boga i ruszył przez mrok izby wprost do Lejzusia.

— No ?

Lecz Lejzuś milczał.

— No ! — odpowiedział sobie sam przybyły.

Był to ujek Lejzusia, Stanisław Waligórski, szlachcic, ostatni z rodu pieniążkowickiego, bez potomstwa.

— Potańczymy na twojem weselu ! — zatarł ręce siarczyście.

— Opaternie-że, cicho-że — szarpał Waligórskiego Brzezina.

— Ja sie nie żenię — bezbarwnie odrzekł Lejzuś.

— To nic, to nic, my cie tu ożenimy sami — zapewniali go ujek i chrzestny.

— Delikatnie-że... — miętolił Brzezina.

— Ja nie chcę — z dziecinnym lękiem bronił się Lejzuś.

— Nie pleć, nie pleć — głaskała Lejzusia chrzestna. — Wszystko będzie dobrze. Chwal Boga, że ci sie tak trefiło pięknie...

— Bedziesz jeszcze chłop — przegadał ujek, wyjmując fajkę z ust — bedziesz jeszcze chłop, jak trza. Ino nie penetruj, nie trza penetrować...

— Trza sie trzymać nas, ze wsią iść razem, a bedzie dobrze. Naprzeciw nie zrobisz nic...

I wszyscy obstąpili Lejzusia dokoła i zaczęli go klepać po ramieniu, przychwalać mu i sławić. Nie było jednak Wikty, ani Cypryana, nie można więc było zacząć pijawy. Wszystkim przeszło to równo przez głowę. Z kłopotu wyratował ich wreszcie Jawor, za którym weszło do izby kilku sąsiadów i sąsiadek.

— Hoho! Co tu ludzi — wołał radośnie, wchodząc do izby. — Jak sie miewasz, Lejzuś? Popijemy... A ty hyclu jeden — zwrócił się do Brzeziny — zaczekaj!...

— No? Patrzcie — wzruszył Brzezina ramionami. — Patrzcie...

— Ja sie z tobą rozmówię, bedziesz rachował kości — groził mu Jawor. — Toś tu przyszedł? Kiż cie tu dyabli ciągli? Lejzuś! — zaczął znów radośnie — Lejzuś, daj mi sie napić, bo cie rad widzę...

— Nic nie mam...

— Jakoż to?! — krzyknęli obecni wzburzeni. — Masz przecie pełny stół, to twoje...

Lejzusia ogarnął dziwny wstyd. Na bladych ustach zakwitł mu uśmiech niezaradny i gościnny.

— Pijcie ! — prosił.

Jawor przepił do Lejzusia, Lejzuś do ujka, ujek znów do Lejzusia, Lejzuś do chrzestnych, chrześni do Brzeziny i sąsiadów. Wódka zaczęła mroczyć łby. Lejzuś pił — sam nie wiedział, dlaczego i poco ; pił dużo, bo wszyscy przepijali doń bez przerwy. Nagle gdzieś w sieni, czy na oborze, powstał zgiełk i hałas. Słyszać było urywane, radosne słowa powitań i pochwał.

— Magda przyjechała — oświadczył Jawor.

— Magda Zimna ? ! — krzyknął przerażony Lejzuś i zachwiał się, wstając od stołu.

— A kogożeś czekał ? — wybuchnęli śmiechem krewni i sąsiedzi.

Lejzuś pobladł. Zerwał się od stołu i ku zdumieniu gości wyskoczył na ławę. Jednem pchnięciem otworzył okno. Jedną nogą stanął już na ramie okna, pochylił głowę, zmierzył okiem miejsce, gdzie miał skoczyć. W tej chwili weszła do izby Magda Zimna z Działu, wystrojona odświeżnie, tęga i ładna niewiasta lat około trzydziestu. Za nią weszła Wikta, za Wiktą pacholek Magdy —

duży, kudłaty, obszarpany chłop z koszałką, wypełnioną flaszkami.

— Coż to? — mimo woli wyrwał się zdumiony okrzyk z piersi Magdy, która najpierw spostrzegła Lejzusia w oknie. — To tak... przede mną?

A Lejzuś, nie schodząc z ławy, zmieszany całkiem i zawstydzony, zaczął bełkotać:

— O... nie... gdzieżby zaś... Ja ino troche pa-ry... powietrza troche... powietrza!...

X.

Lejzuś ani się spostrzegł, jak go posadzono za stołem tuż koło Magdy. Po prawej ręce miał Jawora, po lewej Magdę, dalej siedział Brzezina, ujek i chrześni, sąsiedzi i Wikta. Cypryana nie było. Natomiast bardzo skrzętnie i pilnie kręcił się po izbie Kubuś, który wyciągał korki z flaszek, podawał kukielki i baby, słowem posługiwał. Pi-jawa zaczęła się wnet na dobre. Lejzuś wychylał jak na rozkaz kieliszek za kieliszkiem: pił wódkę, potem wino, wreszcie i piwo. Tak pili wszyscy. W mdłym, żółtawym świetle prymitywnej lampki unosiły się ciężkie kłęby dusznego dymu z fajek, z dymem zlewał się w skisły, gorący opar pot

ludzki. Zdawało się, że wszystkim jest dobrze. Lejzuś co pewien czas powtarzał jeno jakieś marzące „ej“; podchwytował ten wykrzyk Jawor, a uzupełniał go słodkim akcentem Brzezina. Ujek pił i jadł, nic nie mówiąc. Natomiast chrześni głośno, długo i dokładnie wspominali, jak to Lejzusia nieśli do chrztu.

— Hoho, ja już wtedy wiedział, że z Lejzusia będzie chłop, jak sie patrzy! — na cały długi stół wołał chrzestny, Bulcyk.

— Że sie nie przeodmieni! — kiwała głową Mostowa.

— Hohoho, hohoho!... — chwalebnie przebie-
rali chłopci palcami.

— I nie przeodmienił sie — tryumfalnie spoj-
rzał na wszystkich Bulcyk.

— A nie...

— Nie...

— A zdawało sie, że już - już... poleci stro-
nami...

— Hale! — podniósł głos Jawor. — Lejzuś
nie pędziwiater! Opaternie, pomalućku, delikatnie,
przezornie — maca grunt...

— A potem — hyc! I dziewczka babą...

— Wdowa nie wdową...

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Lejzuś także się śmiał, jak dziecko, pozierając nieśmiało na Magdę. Magda zaś robiła mu wyrzuty.

— Zabaczyłeś, ka droga do Działu.

— Mnie wszystko jedno. Ja i bez drogi trafił—
hahaha, hahaha!... — zaczął się śmiać tak, że aż
sie sercu zrobiło niemiło.

— Coż sie tak śmiesz, jak głupi do sera?—
szturchnęła go delikatnie Wikta.

— Bo mi sie strasznie widzisz...

— No...

I znowu śmiał się przeciągle, długo.

— Wesoły jest, bo wesoły — mamrotali są-
siedzi między sobą.

— O, wesoły...

— On tem stoi...

— On do grobu wlezie, a bedzie sie śmiał.

— Taka natura.

— On tem stoi...

— A troche je jest okpiś...

— Cicho-że, cicho-że...

Jawor zrobił nagle przedziwnie uroczystą minę. Wszyscy spojrzeli nań. A on godnie, pomału wstał, obrócił się do Lejzusia i rzekł:

— Twoja radość, boś młody — mój smutek,

bom stary. Twoje zdrowie! Eh, chłopie, szczęście ci sie koci. Pojrzej ino na Magdę — —

— Niech Bóg błogosławi — wzniosł ręce w górę Brzezina.

— No... nie bestyja jedna! — wściekły spojrział na Brzezinę Jawor. — To ja se składał i składał, jako rzec, a ten ci wlezie w sam środek słowa i rozkroczy sie, jak w karczmie...

— No?! — przymrużył Brzezina oko.

— No! Jak chcesz pięścią między oczy — —

I Jawor, groźny jak piorun, przechylił się ponad stół ku trzęsącemu się Brzezynie. W jednym i drugim zawrzała krew. Honor o pomstę wołał.

Obu zacierzewionych starców przywiodły jednak do rozwagi namowy Wikty, Magdy i gości, oraz szalony, nieokiełznany, ponowny strumień śmiechu Lejzusia. Jawor usiadł zgoła bez humoru. Ujek nalał mu wina i zaczęła się pijawa „na zgodę“. Krzyki, hałasy i wspomnienia rozlegały się po izbie, jak w lesie. Wszyscy mieli już w czubach i nie spostrzegli nawet, jak Cyprian stanął na chwilę w progu i zawrócił. Jednej Wikcie było ino głupawo, że Cyprian był nieobecny. Inni politycznie nie zwracali na to uwagi, choć miarkowali, że „tu cosi musi być...“ Ten i ów zaczynał

wreszcie nucić. Brzezina chwiał się rozkosznie na ławie i w kółko powtarzał jedną piosenkę pod nosem. Sobie śpiewał, nie komu.

„Ta dziewczyna moja,
Taka jest bezera —
Dzisiak mnie pogłaska,
A jutro zołmiera...”

Kumoszce od Kwaśnego zrobiło się niepieknie i niedobrze. Cichutko zawinęła głowę i poszła. Któryś z kumotrów wyszedł za nią. Po chwili chrzestna Mostowa poczuła mdłą słodkość w gardle. Chrzestny Bulcyk wyonaczył jej od razu, co to znaczy. Wyszli, jak przyszli, razem, przykładowie i grzecznie.

Choć powoli robiło się w izbie przestronno, parno tu było i duszno straszliwie. Od stołu nie widno było drzwi, ode drzwi stołu. W czerwonym półmroku małej lampki tryskały wygolone, obstarne już i młodsze twarze gazdów; sciekał z nich długimi, wązkimi sznurami gęsty, tłusty pot. Twarze gaździn zasie, czerwone i rozpalone, здаwały się być powiedzione masłem lub smalcem, tak się szklily. Jurność i przymglenie kolebały już wszystkimi...

Magda obejmowała Lejzusia i szeptała mu coś

do ucha, uśmiechając się doń kusząco i rozkosznie. A Lejzuś, spity do cna, kiwał jeno głową i śmiał się serdecznie, serdecznie się śmiał... Wtedy Wikta spojrzała na Jawora i Jawor wstał.

— No... co sie tyczy — zaczął, przebierając niepewnie nogami — co sie tyczy... albo, albo... Interes jest taki, co sie tyczy, że noc już późna... A względem tego, co sie tyczy, to już czas... Za przeproszeniem, mój siwy włos...

— I mój — słodko wtrącił Brzezina, wodząc się za pasy ze swojemi myślami po całej izbie.— I mój, mój siwy włos...

— Kohuty będą piąć — mamrotał Jawor — a ty mie zdradzisz, bestyja bestyjecka! — rzucił się ku Brzezynie.

— Jaworku, Jaworecku mój! — głaskał go po twarzy Brzezina.

— No... bier sie do domu! — dokończył Jawor ugłaskany.

— Do domu? Ojej...

— Dyć wam sie tu pościeli; kabyście tłukli teraz po nocy te stare kościska — zapraszała ich Wikta.

— Hano, darmo... Jak tu, to tu... — Staruszkowie nie dali się długo prosić.

Tymczasem reszta sąsiadów i krewnych, nucąc lub hałasując, poszła do domu. Wszyscy życzyli „dobrej nocy“, zwracając się to do Lejzusia, to do Magdy. A Lejzuś przechylił się cały na ramię Magdy i napół drzemiąc bredził coś, niewiadomo, co...

— Trza spać! — zbudziła ich wreszcie z mgławego rozmarzenia Wikta. — Macie już pościelone... na sianie, w szopie...

— Razem? — zaniepokoił się Lejzuś.

— Razem, razem...

— To widać tak już musi być...

I wstał Lejzuś z za stołu, podał rękę Magdzie. Uderzając o siebie co krok, szli oboje chwiejnie i niepewnie ku drzwiom, a za nimi, dogadując i śmieszki strojąc, zataczali się Jawor i Brzezina, oraz Wikta. Przeszli tak sień, a potem oborę i weszli do szopy. W zaczynku było już poślanie gotowe.

— No, nas tu chyba nie trza...

Wikta zaparła drzwi od boiska. Jawor i Brzezina spojrzeli na siebie. Lecz czarna, lipcowa, gwiezdna noc nie dozwoliła im się napoić do syta wymową rozkosznie uśmiechniętych ich oczu.

XI.

Lem świt ludzie szli ze wszech dalekich stron do Odrowąża na odpust. Szli parobcy z dziewczakami, szli bogaci i bieda zatracona, kupą i z osobna, jak komu było lepiej. Od Orawy sunęły miedzami całe pielgrzymki chłopów w szarych cuchach i białych z czerwonym sznurkiem portkach; z postawy, wejrzenia i kształtu nosa podobni do orłów, szli lekko, zwinnie i śmiało „ku Polskiej“, za nimi zasie wlekły się długie rzędy śpiewających nabożnie bab, mających na ramionach zarzucone białe, różowe i siwe zapaski. Szli miedzami, polami, a lekki wiatr poranny, kołyszący dojrzewające, srebrne i złote zboża, rzeźwił ich ciała, drogą daleką znużone. Od południa zaś i od wschodu ciągnęły długie zastępy ludzi z Czarnego Dunajca, Koniówki, Chochołowa, i z dalsza: z Cichego i Witowa, od Długopola i Ludzimierza. Moźniejsi jechali wystrojeni na wozach. Wszyscy szli pokłon oddać Maryi Magdalenie, co w odrowskim kościele w wielkim ołtarzu klęczy z rozpuszczonymi, złoto-miękkimi, wonnymi włosami... Wikta przywstała wcześniej, jeszcze przed wscho-

dem słońca. Wszyscy głęboko spali, gdy nad dachem Stafierów w błękitnym blasku rośnej, lipcowej pogody zaczęły się unosić kędzierzawe kłęby dymu. Wikta gotowała już śniadanie w czarnej izbie. W izbie zaś Lejzusia, na słomie, wysoko uślanej na podłodze, dosypiali nierozebrani zgoła Jawor i Brzezina. Dopiero jasne słońko i dokuczliwe muchy rozbudziły najpierw Jawora, który też zaczął medytować i stękać. I byłoby wszystko dobrze, gdyby nie było źle. Bo Jawor był już na wozie i pod wozem, z niejednego pieca chleb jadł, przy wojsku dwanaście bitych lat służył, a ani razu nie zawstydził się tego, co zrobił. Przetarłszy zaś dziś oczy, zawstydził się sam siebie. Do spowiedzi przecie mógł pójść, jak się patrzy staremu, błagać o łaski Maryę Magdalene, a on tymczasem tu, na słomie i to z Brzezina, z tym wałkoniem krotnym, spał spity i bezwładny... Lata idą, śmierć bliska, trzaby zaś na niebo popracować, a tu nierada. Dyabeł siedzi jeszcze w człeku, jak za pierwszych lat młodości... I jak ten dyabeł nie wyjdzie z człeka — medytował Jawor — to kanyż ja się będę tłukł po tej śmierci? Kany? Będę znowu pozierał na to niebo, jak na dziadków ogródek? Hm...

— Franuś... — trącił Brzezinę. Ale Brzezina obrócił się na drugi bok i ani du-du.

— Franuś — szarpnął go Jawor mocniej — bo mi jakosi markotno...

— Daj pokój, nie piekłuj, śpij — sapał Brzezina.

— Śpij, śpij — kiwał głową Jawor. — Śpij... Dyć ludzie już na odpust idą... Śpij...

Nagle przyszła Jaworowi do głowy jakaś łajdacka myśl, bo zaczął się śmiać radośnie i kręcić na pośłaniu, jakby na szpilkach leżał. Po cichutku wyciągnął wreszcie z pod chusty długi, wymłócony kłos żytni i zaczął nim delikatnie wodzić po pod nos Brzezinie.

— Dajże pokój, pieklarzu stary — zerwał się Brzezina.

— Daj pokój, jeszcze mu pokój daj — zaczął karcącym tonem Jawor. — A wiesz ty, na czyjej słomie śpisz?

— Czego ty chcesz? Skądeś się tu już wziął tak rano? — wściekał się Brzezina.

— Hehehe! A skądeś się tu wziął ty? Co? Po nocach się włóczysz, pokrako stara?

— A cożeś ty? Spowiednik mój?

— Gorzej. Towarzys nieszczęśliwy... i to przy

odpuście... Wstawaj! — I Jawor zaczął ponownie szarpać nędznymi kościętami Brzeziny.

— Kany my to?! — z wielkim niepokojem, przetarłszy oczy, wykrzyknął Brzezina.

— Ehe, nie wiesz, nie wiesz, nicponiu i nieuku od początku świata. Dopiero ja ci muszę powiedzieć — tryumfował Jawor. — A potem bedziesz gadał, hyclu jeden zatracony, żeś wiedział. Zawdyś był taki.

— Bójże sie Boga, coż my tu robimy? — zupełnie szczerze rozdziawił Brzezina gębę, jak wrota.

— Widzisz, opoju bezwstydnym — dworował sobie Jawor dalej — straciłeś i tę kapinę rozumu, coś miał mieć, do reśty... Zmarniłeś, przekieltoś i to, co ci Bóg chciał dać, a nie dał ci, boś nie był godzien...

— To my nie pošli do domu?

— A któżby cie zaniósł? Kto? Spileś sie, aż mie wstyd było za ciebie.

— O, o, o... Jaki mi!... Patrzcie — markocił się urażony Brzezina. — A to pewnie ja cie tu przyprowadził.

— Ty? mnie?

— Przeciebyś tu był sam nie trafił...

— Ty dziadu zatracony, dyć ja cie tu przywłókł, na słome rzucił, krzyżem boskim przeżegnał, boś nawet w rękach stracił władę...

— Bójże sie Boga, to ja ani pacierza nie zmówił przed spaniem? Jezusie Maryjo! Co ty pleciesz? — trząsał się przerażony Brzezina. — Przecie mi sie taka rzecz za mojego całego żywobycia nie przydarzyła... To ja sie ani nie przeżegnał?

— A nie!

Brzezina zerwał się na równe nogi, jak oparzony, przeżegnał się krzyżem pańskim i słodko spojrział na obrazy świętych, porozwieszane na ścianach.

— Panie Boże — kajał się czule — dyć sie też nie gniewaj, bo to wszystko przez te namowiny... A coż Lejzuś? — zwrócił się z zaciekawieniem do Jawora.

— Na sianie — odrzekł Jawor spokojnie, wstając z posłania.

— Z Magdą?

— Przecie nie z tobą, głuptaku.

— Nie głuptakuj-że mi tyle — oburzył się znów Brzezina — bo mie ten sam Pan Bóg stworzył, co i ciebie.

— E? A byłeś przy tem? Skąd-że ty o tem wiesz? Patrzcie...

— No... Ty już chyba wnet umrzesz...

— Co?! — Jawor stanął oko w oko przed Brzezina.

— Boś coraz bardziej taki jakisi zgryźliwy — tłumaczył się Brzezina ze swego proroctwa.

— Patrzcie go. Truchłe mi już robi — — —!

— Jee... Truchłe nie truchłe... Przecie i mnie sie patrzy jakiesi poszanowanie, przecie i ja mam siwy włos...

Brzezina o mało nie wybuchł łzami. Głos drżał mu z bólu i litości nad samym sobą. Ogarniał się powoli i spozierał na Jawora, jak na jakiego okpisia, który niczego nie umie poważzyć i poszanować! Lecz Jawor wnet go wyrwał z zadumy.

— Zbieraj słome — komenderował — trza ją wynieść. Pójdziemy ku studni. Obmyjesz mi sie, świętuchu...

— Tobieby sie dopiero przydało obmyć — odważnie wypalił Brzezina.

— Nie dogaduj, bo ci cosi przybaczę...

— No? Cożby też takiego?

— A baczysz ty, jakoś sie spowiadał księdzu z tego, żeś sie kąpał nagi?

— Wciurności cie nadali! — wybuchł Brzezina wściekły. — Jak sie nie wstydzisz przy tym świę-

tym odpuście o takich rzeczach... Ty wandernogo, ty...

Jawor nie słuchał zgoła wymyślań Brzeziny, jeno się śmiał z niego do syta, zataczając się po całej izbie. Schylił się wreszcie i pomógł mu związać zebraną słomę w duże dwa snopy. Wziąwszy po jednym, stękając i dogadując sobie wzajemnie, wyszli z izby. — Na to jeno czekała Wikta. Skoro tylko doszli do obory, gaździna zawołała Kubusia, kazała mu wziąć miotłę i popodmiatać słomę i śmieci po wczorajszych gościach, sama zaś szybko i zwinnie ocierała obrazy oraz zgarniała kurz z nad starej półki i z rogów izby.

— Ruszaj się żywo — popędzała Kubusia.

— Tak mi jakosi nijako — mamrotał Kubuś.

— Nijako ci? — Wikta spojrzała nań tak, że aż w piętach poczuł jej wzrok.

— Mgli mie, tak mie mgli — tłumaczył się Kubuś.

— Trza było w nocy spać.

— Dycieście sami...

— Co? co? co? Co sama? Ty smarkaty jeden!... Patrzcie go — sama! Zamiataj...

Kubuś przerażony pochylił się nad miotłą cicho i skromnie, jak na Kubusia przystało i z wolą

Boską podmiatał śmieci ku drzwiom, a potem przez szeroką sień aż na oborę. Dokonawszy tego dzieła, westchnął sobie głęboko i poszedł za ścianę, ku studni. Tymczasem Wikta kręciła się, jak cyga, między czarną a białą izbą. Co pewien czas wychodziła na próg przed chatę i spozierała ku szopie. Czekwała, kiedy się zbudzą Lejzuś i Magda. Bojąc się zaś widocznie, by nie przespali śniadania, opaternie — tak, by nikt tego nie dostrzegł, rzucała przez oborę patyk za patykiem we wrota szopy. Łoskot i stuk na oborze był taki, jakby kto strzelał z odrowąskich moździerzy. Celu dopięła wnet; bo oto niebawem wrota się uchyliły i pokazał się w nich najpierw Lejzuś. Był w długiej, cienkiej koszuli i zgrzebnych, szarych gaciach. Twarz miał podobnie, jak koszulę, zmiętą. Za nim wyszła Magda w białej, z długimi rękawami, koszuli i w jednej tylko, lekkiej, czarnej spódnicy. Oboje byli od stóp do głowy obrani sianem. Na głowie — zdawało się — więcej nawet było siana, niż włosów. Powoli i ostrożnie szedł przez oborę najpierw Lejzuś, a za nim Magda. Nie mówiąc ani słowa, weszli do białej izby.

— Ou... uo... ki dziadzi nadali... — przeciągał się Lejzuś.

— Ka też moje spodnice? — bezbarwnie pytała Magda wiatru, rozglądając się po izbie.

— Co?

— Spodnice.

— Spodnice? — zaczął Lejzuś medytować. —

Hm... Spodnice...

— Pewnie u Wikty — domyślała się Magda.

— U Wikty?

— Myślę.

— Ja też tak myślę...

— Trza będzie po nie pójść...

— Ale ja może tu zostanę — z niepokojem popatrzał Lejzuś na Magdę.

Lecz Wikta nie dała czekać na siebie. Wesoła, czy też udająca wesołość, weszła do izby rozpromieniona i pełna życzliwości w uśmiechniętych oczach.

— Wstaliście? Spało wam się dobrze? — wypytywała. — Ja już śniadanie zgotowała.

— Spało się dobrze — rzekła, ziewając, Magda.

— Na sianie miękko — wtrąciła Wikta.

— O-ho! — zaakcentował Lejzuś.

— Coż „o-ho!“! — droczyła się z nim łaskawie Wikta, spozierając na Magdę, która sobie ręką twarz zasłaniała.

— Co mięko, to mięko — ospale kiwał głową Lejzuś.

— Pójdźcież na drugą stronę — zwróciła się Wikta do Magdy — bo wam jeszcze tu nie da spokoju. Zbierzecie się...

I śmiejąc się rechotliwie, zostawiły Lejzusia samego.

— Czego się śmieją? No czego?... — rozmyślał Lejzuś.

XII.

Uszło sporo czasu, a Lejzuś, jak siadł na stoleczku, przyszedłszy ze siana, tak siedział nieporuszenie i cicho. Zapatrzył się znowu w jeden punkt i patrzył weń, nie widząc go zgoła. Opanowała go cicha, niezamącona, nic nie wiedząca zaduma. Oczy miał szklane... Ocuciło go dopiero wejście Cypryana.

— Wszystkoś potracił — wyrzucał mu brat, wchodząc do izby. — I rozum i strój. Masz, ubieraj się — i podał mu nowe kerpce, portki i serdak.

— Zaraz, zaraz — mamrotał Lejzuś, odbierając od niego strój.

— Spili cie, widzę, na śmierć...

— E... sam sie spiłem...

— Ale nie wiesz, coś gadał.

— Wiem, wiem — daj pokój.

— I nie wiesz, coś robił.

— Wiem.

— Nie wiesz. Aż mi sie serce krajało. Zajrza-
łem tu do izby ino raz, alem musiał uciec do
stajni, bo z bydłem lepiej mi, jak... jak z tymi
ludźmi. A potem Wikta, Jawor i Brzezina odpro-
wadzili was, jak cudaków, na siano.

— Wikta tak kazała, wiem — bezbarwnie mó-
wił Lejzuś.

— Wstyd wspominać... Uszy puchły od tego,
co oni do was gadali. Dyciem wszystko słyszał,
bom leżał przy koniu, w żłobie. Nie brakło i Ku-
busia... I on sie już kształcił, smarkaty pędrak...
Ale jednej rady Wikty toś przecie mógł usłuchać.

— Coż takiego? — podniósł Lejzuś oczy na
Cypryana.

— Przestrzegala cie sama, coby siano za głoś-
no nie suściąło — wyrzekł Cypryan z gorzką ironią.

— A ono — —

— ...a ono — zdaje sie — suściąło głośno,
bardzo głośno...

— Amen — dokończył Lejzuś.

— Amen, amen. Osaczyli cie dobrze, życzliwie, okrutnie życzliwie. Spiłeś sie z nimi, wlałeś między nich — —

— To już tak jest, jakby wszystko przepadło — obłądnie spojrzał znów Lejzuś na Cypryana.

— Tak, jakby przepadło... Trza teraz cudu wyglądać.

— Wikta mocniejsza nad cuda. Ona tak jakosi z niczego robi rzecz, a za nią wszyscy, wszyscy stają... Boże mój...

— Popatrz ty na sie—kiwał głową Cypryan—popatrz ty ino na sie, jak wyglądasz, co z ciebie zrobili.

— Spiłem sie, spiłem sie — widać — za całe życie...

— Coż teraz będzie?

— Nie wiem, nie wiem, Cypryan, nie wiem...

— Trza wiedzieć. Mus wiedzieć...

W sieni rozległy się nagle krzyki i hałasy Brzeziny i Jawora. Cypryan niemal siłą wypchał Lejusia do bocznej izdebki, coby się wymył i ubrał, sam zaś wyrzwał do sieni. Oczom jego przedstawił się zabawny widok. Oto Jawor i Brzezina, obmyci już i wyświeżeni, ciągnęli Kubusia —

jeden za jedno, drugi za drugie ucho — do izby.

— Hehe! Patrzcie go! — wykrzykiwał Jawor na cały głos.

— Ktoby sie spodział! — pomagał mu Brzezina, wchodząc do izby.

— Coż on tam zbroił? — zaciekawiony pytał Cyprian.

— Hale! — gromko jął przemawiać Jawor, puszcżając z palców ucho Kubusia. — Człek ma osiemdziesiąty rok, a za ścianą dziewczek nie szczypie!...

— A ten ci Margosie od Bielaka, co przysła po wodę do studni, jął szczypać i łygotać. Łygotał ją, na własne oczy widziałem — krzyczał oburzony Brzezina.

— Kto go to nauczył? — zastanawiał się Jawor.

— Aj kto?

A Kubuś wystraszony jedno ino'w kółko powtarzał, że go mgli, okrutnie mgli...

— Ono cie będzie mglić, będzie, łajdaczyno — groził mu Jawor.

— Huncwocie! — używał sobie Brzezina.

— Kto cie tego grzechu nauczył? — zapytał Jawor, tym ważkim, niezgłębionym tonem, jakim matka pyta swe dziecko, kto je stworzył.

— Gadaj! — wszedł i Brzezina na Kubusia.

— Chrzestny ojciec... chrzestny ojciec — składał się chłopiec w dziesięciuro.

— Dajcie mu pokój — stanął w obronie Kubusia Cyprian. — Jeszcze się sam opamięta na czas — dodał po chwili z dziwnym uśmiechem.

Zarówno Jawor, jak i Brzezina, chcieli przecież wiedzieć jakiś stały skutek swej pobożnej i miłej Bogu walki z gałganem dyabłem, który już i do dzieci przystęp znalazł. Chcieli skruszyć zatwardziałe serce łazipepka i nauczyć je — rozumu. Lecz ani Jawor ani Brzezina nie mogli wymyślić nic takiego, co by sobie Kubuś dobrze popamiętał. I jeden i drugi odpasałby najchętniej rzemień od portek i pogłaskałby nim Kubusia na wieczną pamiętkę, lecz przy świętym odpuszcie, w samą Maryję Magdalенę, nie chciało im się robić hałasu i kwiku. To też po chwili namysłu Jawor zwrócił się do Kubusia rozkazująco :

— Pocałuj gazde w rękę.

— Oblap za nogi — kończył Brzezina komendę.

Choć Cyprian wzbraniał się, Kubuś wykonał te rozkazy skrzętnie, poczem szybko skierował się ku drzwiom.

— A mnie, com cie od grzechu uratował, to nic? — tupnął Jawor nogą, aż jękło pod fosztami.

Kubuś ucałował rękę Jawora, objął go za nogi i uścisnął, i znów zawrócił ku drzwiom.

— A mnie? A mnie? — upomniał się o swoje Brzezina. — A mnie? Patrzcie go... filans...

Kubuś jeszcze raz zawrócił, wypełnił swą powinność i na wojskowy rozkaz Jawora — „marsz!“ — poszedł w pole. Jawor dopiero teraz, jak po spełnieniu ciężkiego a doniosłego obowiązku, odetchnął spokojnie, z uczuciem ulgi.

— Tak nas chowali nasi ojcowie i bez to my są ludzie — dokończył na głos swe wzniosłe myśli.

— Staroświeckie chowanie! — dodał z dumą Brzezina.

— Dziś leci wszystko w dół. Co stare, w poniewierce.

— Zmienia sie wszystko — spokojnie zaczął Cypryan. — To ino źle, że za powoli sie zmienia.

— I tobie poprzekręcały w głowie te... oświaty! — zadrwił sobie Jawor z Cypryana.

— Nonono... — spieszył z ratunkiem Brzezina. — Ja sie zaś zgodzę troche z Jaworem, kapke z Cypryanem. Słusnie, że powoli sie zmienia życie. Dajmy na to... w Odrowążu tu nudno już.

— Wicie go — mędrek! Franuś — mędrek! — szydził Jawor.

— A i wyście nudni! — odpłacił mu się Brzezina. — Jedno i to samo gadacie, a nawet i to samo pijecie. A i cały Odrowąż to samo jedno robi. Eh, — machnął ręką markotnie — cheba se drzymał ten Pan Jezus, kie Odrowąż stwarzał, aj drzymał...

— Spileś sie, pijaczyno, wczora, to cie dziś nudzi i markoci, he? Drańdulo stary... Jak sie miewasz, Lejzuś? Wypałeś mi sie? — obrócił się Jawor ku małym drzwiczkom od bocznej izdebki, skąd Lejzuś wchodził wymyty i wystrojony. — A jak sie nam to dziś wystroił!...

— Niewiada, na odpust, czy też na te zapowiedzi? — podziwiał go Brzezina.

— Ani na jedno, ani na drugie — z obrzydzeniem i nudą w głosie odrzekł Lejzuś.

— Hehe! Zawdy wie, jak pedzieć — ustępował Brzezina.

— Ale wiesz, tak po prawdzie rzec, to ta Magda bedzie miała strapienie z tobą — śmiał się Jawor.

— Bo ty to tak, jak cysarz...

— A wy, jak ministrowie...

— Do roboty toś się nie stworzył — kończył swą myśl Brzezina.

— Nikomu nie zawadzam — dumnie odrzekł Lejzuś.

— Ino Magdzie — filuternie wtrącił Jawor.

— Kapecke Magdzie...

— Jako?

— Jako... jako... Ja wiem, jako tam było? — wzruszył ramionami Jawor. — Ja tam przy tem nie był.

— A ja był? — sumitował się Brzezina.

— Ale ta cosi było...

— Cosi musiało być...

— Baba jurna! — poklepał Jawor Lejzusia.

— E, Boże!... — Brzezina wzniosł ręce do góry i słodko się śmiał do swoich przemyśłych myśli.

— O, wicie... jak się rwie! — śmiał się z niego Jawor.

— A tybyś się nie rwał?

— Wstydu nie możesz jej robić! — nastawał Jawor coraz bardziej na Lejzusia.

— A jak jej zrobię wstyd — — —

— W imie Ojca i Syna! — przeraził się Brzezina.

— Bój się Boga!

— Wina nie moja — bronił się Lejzuś.

— A ktoż to spał z nią na sianie? — wybuchł brutalnie Jawor.

— A kto mie tam zaprowadził pijanego?! — podniósł głos Lejzuś.

— Coż ty se myślisz?!

— Niepeć, niepeć — mełł językiem Brzezina.

— ...że was do kryminału zagnam! — przyskoczył Lejzuś do Jawora.

— Co? Ty?!

— Ty śmiesz na siwe włosy?!

— Hamuj sie! — Cypryan stanął między starcami i Lejzusiem, który już się rozpajedził.

— Ja tu już wszystko teraz widzę dobrze — mówił, drżąc na całym ciele. — Wiem, kto i poco to wszystko urządził. Wiem, ktoście wy, coście za jedni!...

— Słychana to rzecz, słychana to rzecz — zawodził Jawor — żeby taki... taki... taki...

— No?

...Taki... cysarz odrowąski! — chciał dokończyć Brzezina, gdy do izby weszły Wikta i Magda.

— Śniadanie gotowe, chodźcie — zapraszała Wikta.

— Wypaliście się dobrze? — zwróciła się Magda do Jawora i Brzeziny. — A kanyżeście to zaś wy byli, Cypryanie, że was nie było wczora?

Lecz ani na jedno, ani na drugie pytanie nikt nie odpowiedział.

— Cożeście tak pokostnieli wszyscy? — spytała wreszcie Wikta.

— Thie... bo to... widzicie — zaczął Jawor — ni tak, ni owak...

— Coż znowu?

— Bo ja sam chciałbym wiedzieć nareście, — nie gniewajcie się, Magda — ja sam chciałbym wiedzieć — mówił Cyprian głosem powolnym, drżącym — jako to jest z tym ożenkiem Alejzego?

— Jakto? — krzyknęła przerażona Magda.

— Co tu gadać dużo? — spraszczala położenie Wikta. — Przed sumą pójdziecie do księdza i dacie na zapowiedzi...

— Niewiada, czy to tak będzie—zaczął Lejzuś.

— Jezu! — krzyknęła znów Magda.

— Zawzięła się bestyja leśna! — furczał Jawor, a Brzezina suwał nóżkami z kąta w kąt i pełen niepokoju labiedził strasznie.

— Ajej-jej-jej... aj-jej-jej...

-- Za przeproszeniem, Magda, nie gniewaj się.

Tyś tu w mojej chałupie — mówił Lejzuś z naciskiem — nie gniewaj się. Ale ja do wczoraj wieczora nic nie wiedział o tem, że przyjdzie mus żenić się...

— Przecież przysłał do mnie Jawora i Brzezinę — ze łzami w oczach mówiła Magda.

— A niegże cie... niegże cie... — tracił głowę Jawor, cofając się ku drzwiom.

— Dziasi nadali! — narzekał Brzezina, trzymając się Jaworowej cuhy.

— Wikta robiła wszystko sama, bez mojej woli — wyrzekł Lejzuś dobitnie, patrząc Magdzie prosto w oczy.

— Jakto bez twojej woli?! — przyskoczyła do Lejzusia Wikta.

— Milcz! — odepchnął ją Lejzuś od siebie. — Dopiero wczora, kiedyś tu przyjechała... — co tu gadać!... Spili mnie... opoili i wysłali z tobą na siano...

— Matko Najświętsza Ludzimierska! — załkała Magda bezradnie i boleśnie. A Jawor i Brzezina, korzystając z jej krzyku, i chwilowego nie zwracania na nich uwagi, chyłkiem — opatarnie, delikatnie i przezornie wynieśli się za drzwi i pomiędzy płotki i opłotki pognali do domu, nie obracając się ani razu poza siebie.

— Bo już zaczynało być niepieknie i nieprzy-

jemnie — dochwalali sobie wzajem między opłotkami.

Wikte aż podnosiło z miejsca, żeby przyskoczyć do Lejzusia i „sprać go po tej zielonej kufie tak, coby aż poczerwieniała“. Ale stała w kącie izby, jak pal, wbity głęboko w ziemię. Lejzuś zaś zwrócił się do Magdy.

— Nie płacz — mówił — Nie płacz... Ja na twój honor nie nastąpię... Ja... ja przecie ożenię się z tobą... Ożenię się z tobą...

— Nie chciałam ci dobrze? — wysunęła się znów Wikta.

— Ale stąd — mówił Lejzuś powoli i dobitnie, patrząc na Wikte — stąd, z tego domu i gruntu nie ruszę się na krok!...

— Co?! — wybuchła Wikta.

— Zdradziłaś się — chwycił ją Lejzuś za rękę. — O to szło! Przegrałaś! Gazdostwo Magdy sprzeda się w Dziale — grunta tam dobre i drogie — a tę chałupę zajmuję całą...

Dyć, jako bedziesz chciał, tak niech — — —

— Jakto? Jakiem prawem?! — przerwała Wikta Magdzie.

— Tem prawem, że ta chałupa moja, grunt mój. Do dni trzech masz mi się wynieść stąd, dyablico!

— Ty zbójcu jeden! — rzuciła się Wikta z nożem kuchennym na Lejzusia. Lecz Lejzuś zgrabnie chwycił i przekrzywił jej rękę, zaczem chwycił ją za bary, podniósł i z dziką wściekłością, pchnąwszy drzwi, stósł do sieni.

— Za drzwi! Za drzwi! Nie tobie siedzieć pod Stafierowym dachem, suko! — i zamknął drzwi za sobą. W sieni rozległ się piskliwy, wściekły płacz. Lecz Lejzuś nie zwracał nań uwagi. Drżał cały z nadmiaru czynu, dokonanego już poza obszarami swej woli. Upajał się tym czynem. — Niech idzie do ojców swoich — zwrócił się do Cypryana. — Teraz ty zaczniesz życie moje, ja... pewnie twoje — zaśmiał się straszliwie.

— Niech się już samo dzieje, jako chce... Niech samo... Nie chcę przykładać ręki ani tu, ani tam... Niech samo...

— Lejzuś — zaczęła Magda — dyć jak ci krzywda, jak ci krzywda — — —

— Cicho, cicho... ty nie płacz...

XIII.

Jak strzała wpadł w tym momencie do izby Florek z jakimś zawiniątkiem w ręku. Wygolony,

wystrojony odświętnie, wydał się młodszym o kilka lat. Zdjął kapelusz i przygładził sobie włosy, wysmarowane masłem tak, że aż skwarzyły się na słońcu.

Bój sie Boga, Lejzuś, tyś w izbie? Taka pogoda ładna, słoneczko grzeje, bój sie Boga...

— Poczem rzucił się pod łóżko, wyciągnął koszulkę na środek izby, rozwinął zawiniątko i włożył do koszulki pięć jaj.

— Bóg zapłać, żeście mi dopomogli wczora... Kury zniesły, baba dała, Bóg zapłać. Lejzuś, cożeś ty taki osowiały? — Florek wiercił się po izbie, jak świder. — Chybaj w pole... Pójdziemy do Dunajca, na te rowery popatrzeć. Chybaj...

Cyprian westchnął.

— Idź — wyszeptala Magda, patrząc na Lejusia.

Florek zapomniał języka, spostrzegłszy ją dopiero teraz.

— Co... co to... niby... — bełkotał. Lecz wnet pozbierał myśli i znów począł Lejusia namawiać. — Chybaj... legniemy se w borze, na polanie, jako i zeszłej niedzieli... bedziesz gwarzył... pójdź...

— Dyć ja ci, Lejzuś, nie chcę stać na przeszkodzie — wtrąciła znowu Magda cichym głosem.

— ...Bo widzicie, Florek — zaczął Lejzuś — ja... ja sie żenię...

— Co? Ty? W imie Ojca i Syna... Dyc jeszcze wczora nie było o tem rady. Ktoż cie to tak przynaglił?

Florek zdębiał.

— ...I dziś nie pójde z wami — dokończył Lejzuś.

— Cie-cie... Ciecicie! — dziwował się Florek. — A słoneczko już tak do cudu dziś grzeje, tak przygrzewa, tak woła...

Cyprian wybuchł głębokim, gorzkim szlochem.

SZKICE

22KICE

PIOSNKA GAJDOSIA.

Niebo na wschodzie jęło już bieleć, kiedy Gajdoś wychodził z karczmy. Rzadka, srebrzysta mgła pozawieszała się na przyłaskach, ponad ostatnimi chałupami i dalej, nad żłobem krętego, hałaśliwego potoka. Cicho było, że pewnie i w niebie tak nie jest, kiedy Pan Jezus mszy słucha.

— Cie cie... Zamarł świat — mamrotał Gajdoś. — Podły świat..! — szepnął po chwili i zabrał się do rozwiązywania niesłychanie zawilej sprawy. Chodziło o to, jakby przekroczyć próg karczmy. Ni tak, ni siak... Szukał oparcia, słupka jakiego, a choćby już patyka, ale darmo. A tu nożyska chwieją się i majdają, jak rozhuśtane flaki...

— Żadnej już człęk jędrności nie ma... Oparcia naleźć nie może... To przecie ino interes, aj, interes...

Zaczął se Gajdoś grozić palcem i przygadować.

— Gadałem przecie, sam se już nieraz gadałem: Gajdoś, do karczmy nie chodź. Nie chodź, pytam cie o to pięknie, nie chodź, Gajdoś... Ehe! Gadaj mu ta! Za Gajdosiem ino wiater furczy. Gajdoś już tam, ka trza. Poradzisz z nim?

Nagle Gajdoś sie obaczył. — Do kogóż to tak pięknie przegaduje? Dyć on tu sam. Do siebie? E... za co? Za to, że zajrzał do kieliszka? Dyć tu inni gęściej zazierają. Hoho! Boże ty mój! Żeby wszyscy byli tacy, jak Gajdoś...

— Byłoby tu pijawy a pijawy! — szepło coś z boku.

— Cicho-ze, cicho-ze — opędział się Gajdoś chytrej myśli. — Ale na mój stu prawdu, kieby ludzie tacy byli, jak ja... E Boże! Niktby tu... może... nie pił. Jako i dziś... To ja winowaty? Ja? To ja ino sam pił? Sam? Ja ino do karczmy poszedł, a ludzie tam już pili. Pił Fajcorz, pił Pi-toń, pili Galice, pił Jaś i Paweł, sytka pili — Jezus Maryo! — cała karczma piła!... A co ja biedny miał robić? No co? He — widzicie!... Oni tam już ino na to czekali, cobym przyszedł... Przecie ja tam ostatni wszedł, przecie ja ostatni... wyszedł, jak sie patrzy.

Gajdoś znowu się obaczył, że gada na wiatr — wzniosł głowę do góry, wyprostował się i zamasyście ruszył naprzód. Stanął na środku drogi i zaczął rozważać na nowo:

— No dobrze... Niechże i tak będzie, niechże już będzie. No... poszedłem do karczmy. Ale oni tam już byli! To ja, gdowiec, sierota, mam siedzieć sam w chałupie? Jak palec? Jak jałowiec na ugorzysku? Sam? E, Boże ty mój! Sam! Proboszcz ma se kościół i gospodynią, gazdowie mają baby, parobcy dziewczki — a ty, Gajdoś, co masz? Powiedz raz nareście, co ty masz? Widzisz, biedaku — samego siebie ino masz, samego siebie, jedynaka! A przecie i ze samym sobą nieraz ciasno! Trza ustąpić. Trza do ludzi — nagadać się, nakurzyć, napić, napluć... Eh!

Znów z całym rozmachem próbował Gajdoś ruszyć naprzód. Ale wtem zatoczył się okrutnie i runął w rów. Nie pogniewał się jednak o to. W rowie było trochę świeżego, grząskiego błota. Miętko było, jak na pierzynie. A przecie Gajdoś nigdy w życiu nie zaznał pierzyny ani pod sobą, ani na sobie.

— Cie cie — mamrotał — miękuśko tu... Bóg przecie wie, co robi. Jak komu źle, stósi go

w rów, coby mu lepiej było. Przecie to ino rozum, nie bele co...

I począł Gajdoś rozmyślać o rzeczach wieczystych. Co słowo, szeptał: — Bóg. — I było mu z tem słodko, pogodnie i dobrze. W tem dziwnem zachwyceniu zrobił też Gajdoś jakieś odkrycie radosne, bo nagle wrzasnął co sił: — Mam! — Za chwilę po trzykroć zawołał: — Mam, mam, mam!... Ale co? — zapytał wreszcie sam siebie. I w tym momencie coś już widocznie stracił z radosnej własności, bo zaczął stękać i przewracać się w błocie.

— Cosi było, było cosi całe, a została ino szczypta... Jakże to? To niby — wiem, wiem! — hoho, wiem — o to wej idzie, że jeszcze z Panem Bogiem człek jako tako wytrzyma. Z nim jedynym. On sie ta o nic nie ciska, nie obrazi sie na nikogo, a choć sie ta może i obrazi, to człek o tem nie wie i nic se ta z tego nie robi.

Wszystkie myśli Gajdosia poleciały z rowu za chmury... Niema, jak tam! — Dusza Gajdosia stała się radością i uwielbieniem. Napół trzeźwy, napół pijany szczęśliwością bezmierną, szeptał:

— On jeden mądry i dobry, On jeden wie, kto ja jest. A i Pan Jezus jest dobry i wszechmocny i wszystkowiedzący.

— Wszechmocny? Wszystkowiedzący? Tu zaczęło się znów ćmić w głowie Gajdosia. — Wszechmocny! Wszystkowiedzący! Wszystko wie, wszystkiemu podoła. Jakby chciał, tobym pierzynę miał... Gajdoś uśmiechnął się radośnie, że mu się o tej pierzynie tak poskładnie powiedziało... Tobym pierzynę miał... Czemuż też nie chce? Boi się ludzi? Mocny jest przecie. Nie boi się, ino... nie chce. Nie chce! On winien.

I Gajdoś począł łączyć sprawy boskie ze sprawami swojemi, po chwili nawet ze sprawami sąsiadów, wsi, parafii — Matko Boska! — powiatu całego i całego świata. I przejrzał całą zawilóść tych praw na przestrzał. Zauważył, że to Pan Jezus wszystkiemu winowaty, bo nic nie chce... — Tak, tak ono to jest na tym świecie bożym. Pan Jezus się nie wyteża, nie robi ładu wśród ludzi, bo nie chce. A człek nie wie o tem i nie zagania całkowicie sam koło siebie. I z tego się robi mął, tryjont na świecie. Przecie Pan Jezus wszystko przeznaczył z góry, wszystko przewidywał, wszystko pchnął w ruch wolą pierwszą, kiedy świat stwarzał. I wtedy to musiał się nieborak nadto wyteżyć, wtedy to musiał wolę stracić na wieki — nie pomogło krzyżowanie — bo ludzie dość już

nagrzyszli grzechami, które sam wymanił i teraz wszystko pomierzwione i zdiadowane do cna... Tu wej jest jądro...

I w ten sens mamrotał Gajdoś, leżąc w błocie i patrząc w dogasające gwiazdy. Zaczem umyślił wstać, lecz nie mógł, bo wrósł w błoto trochę za głęboko. Czuł już mokrość i na plecach i za pazuchami. Co się poruszył, by wstać, zapadał jeszcze głębiej. Wreszcie zebrał wszystką moc swoją i jednym ruchem wyrwał się z rowu. Zatoczył się, zachwiał, pogroził złym siłom — a potem poczuł nagle ochotę zanucenia czegoś. Ale czego? Świt jest, dzień wstaje, w głowie mą, a w sercu radość, bo serce prawdę znalazło, serce znalazło spokojną, radosną prawdę... Serce niczemu nie jest już winne, wszystko było ułożone z góry, serce jest teraz ptakiem... Śpiewki takiej trza, coby o Panu Jezusie — o tem, że to nie ja, ale on, że to nie ja, ale on, on jeden...

— Eh! — Wyrwała się nagle pieśń:

Poniezus s napił,
Matka Boská śpiewá —
Hej! Pieter, Paweł táncy,
A Duch święty ziewá...

Sytka święci patrzom:
— Zje coż sie to dzieje? —
Hej! ino siwy Pán Bóg
Z á piecka sie śmieje...

Hej! ino siwy Pán Bóg
Z á piecka sie śmieje!

I tak śpiewający szedł Gajdoś przez wieś z radosnem sercem do domu.

PAN JEZUS PRZYSZEDŁ.

Wszystkie dzwony rozgrały się na odrowąskiej dzwonicy, głosząc światu, iż Pan Jezus się narodził i przyniósł ze sobą miłość wielką, przebaczenie złym (i dobrym), zrównanie bogacza z biednym. Radość malowała się z tego powodu na obliczach przemysłnych gazdów i troskliwych gaździn, harnych parobków i jarych dziewczek, wracających przy graniu dzwonów z pasterki. Jeszcze błądziła wśród białych pól melodia świętej pieśni, śpiewanej przed chwilą z przejęciem w kościele:

Wśród nocnej ciszy
Głos się ozchodzi —
Wstańcie, pasterze,
Bóg się wam rodzi...

Każdemu huczy ta pieśń w uszach — słyszą ją...

Bóg się wam rodzi...

— Już się ta narodził.

— O, już.

— Kto wie, o której też godzinie?

— No wicie, to nie wicie, co o północy?

— Prawda, dyć-em się zabaczyła do imentu, moiściewy...

— O! o północy, — zapewniał podsiwiał gazda kroczącą za nim kumoszkę.

— Coście ta jedli na wilią? — pytali jedni drugich nieco dalej.

— Hoho! Moiściewy...

— W taki dzień, to się ta człek nie może pożłować, choć to niby post.

— Przecie, że nie...

Parobcy zaś rają między sobą, którą dziewczę warto podsiać, dziewczki znów wadzą się o parobków. I tak sobie ta gwarzą wszyscy, zwolna idący ku chałupom. A nikt jakosi nie zauważył, że najspieszniej leciał ku chałupie Jędrak Kukulak z pod Grapy ze swoją babą, Hanką. Ale! bo też i mieli poco lecieć!... Hanka upiekła aż trzy baby;

trzaby je popróbować, czy sie też dobrze wypiekły, czy, broń Boże, nie są juchnawe.

— Kie sie już Pan Jezus narodził, to po wili i po poście, babę wolno jeść...

Pierwszy wpadł do izby Jędek. Zaświecił małą blaszaną lampkę — obejrzał się po izbie. Za stołem stał snop owsa, ale dziwnie jakoś orafany. Łoktusa, którą był stół ze sianem nakryty, o mało że nie spadła na podłogę. Pod stołem — znowu nieporządek: siano, na którym w każdej izbie o północy przychodzi na świat Pan Jezus, było rozmierzwione i poroztrzepywane het! koło stołu.

— E... kiż to djasi?

— Śwecisz? — zapytała, otwierając drzwi, Hanka. — E! best!... co to te dzieciska narobiły tryjontu!... A padałam ci: zagaś światło i kaz im iść spać; nie, to masz.

— Hm...

Jędek mruczał i złości go brały. Byłby nakłął Hance, aleby mu pewnie nie dała baby, a po drugie i Pan Jezus się narodził, to ta juz nie wypadało jakosi.

— Dejże tej baby, pokiela dzieci śpią — zwrócił się po chwili do żony.

— Jak sie mu to zachciewa; dyć ja wiem,

żebyś ty ino dobre rzeczy jadał, a mruczał —
zaczekaj...

Wyjęła klucze z za pazuchy i wyszła do komory. Po chwili wniosła na dynku żółciutką, jak szafran, bułkę; ukroiła trochę i podała Jędrkowi.

— Cobyś nie gadał, że ci skąpię — mówiła, patrząc na niego.

— E, kiedyż ja ci tu co wypominam? — bronił się Jędrzek.

— Jedz, nie gadaj nic, bo się dzieci przebudzą. Jedli tę babę w milczeniu a chciwie. Młaskanie ino rozlegało się po izbie. Nagle Jędrzek podniósł głowę.

— Zdaje mi się, że ktoś idzie — wyszeptał.

— Do nas? Ktożby tu szedł tak nieskoro?

— Może kto z podłazami...

— E, dyć tu niema dziewczek — oburzyła się Hanka.

— Do drzwi się dobija, schowajże babe — szeptał Jędrzek cichym, ostro syczącym półgłosem.

Hance ta nie trza było gadać dwa razy. Babę wrzuciła co prędzej pod zagłówki i zdjęła chustkę z głowy, że się to spać zabiera...

Ktoś zastukał nieśmiało do drzwi. Jędrzek uroczyście odrzekł:

— Wolno.

Do izby wszedł gazda mniej więcej czterdziestoletni, barczysty, silny, rozrosły, kieby ten dąb starodawny, co stoi przy kościele i dzwonom hu-
czeć pomaga.

— Pochwalony — wyrzekł i stanął przy drzwiach.

— Na wieki wieków... witajcie... coście tam nasłuchali?

— Bóg zapłać... nic nowego...

Gazda spojrzał wokół; przez chwilę stał przy drzwiach w milczeniu, jakby się wahał postąpić naprzód. Wreszcie sięgnął do kieszeni,abrał pełną garść owsa, podniósł rękę do góry i począł hojnie rzucać o ściany ten największy dar boski, życząc gazdostwu drżącym głosem:

„Na szczęście, na zdrowie,
na to Boże Narodzenie;
coby wam się szczęściło,
darzyło
w każdym kątku
po dziesiątku:
w komorze,
w oborze,
wsędy dobrze“.

Skończył; podszedł ku Hance i pocałował ją w rękę.

— Je... deście, kumotrze, pokój; cobyście ta całowali, dyć ja młodsza od was — broniła się Hanka.

— Hoho! Mościewy... Jędrus — zwrócił się teraz do gazdy — nie pamiętaj mi. Co zaszło między nami, niegże będzie zapomniane.

— Dyć my się tu na was nie gniewali, Michale, ino... tak nam było nijako...

— No, koniec końców — przerwał mu Michał — pogódźmy się. Spólnikujemy, a żyjemy tak ze sobą, jakby ja gazdował ka w Pyzówce, a wy w Chochołowie. To przecie tak nieładnie.

— Juści, że nie...

— A nie — dodała Hanka.

— Co było, niegże będzie zapomniane — namawiał dalej Michał. — Bo i o coż to poszło? O to marne drzewko... Niegże będzie zapomniane. Pan Jezus się narodził, miłość i zgoda na świat przyprowadził ze sobą.

— Dyć prawda...

— Tak też i ja idę do was, kochani spółnicy, ze zgodą i miłością.

Michał wyjął w tej chwili z pod serdaka flaszkę, postawił ją na stole i gadał dalej:

— Pan Jezus, to nie byle co, mościewy... Zgoda i miłość... Macie kany kieliszek?

— Podej-że go, Hanka; tam jest, na półce.

Hanka w mig podała kieliszek do wódki.

— Pijcież, kumoska — zapraszał Michał.

— O... coż to za wódka taka czerwona? — pytała Hanka, nalewając.

— To z tych najlepszych, z miasta zawzięłem kiedyś — chwalił się kumoter skromnym głosem.

— Dobra, pijcież, bom do was piła.

— No, Jędrus, na zdrowie!

— Z Panem Bogiem pijcie...

— E! wolę sam — żartował Michał.

— Nie bluźnijcie przy tym świętym dniu — napominała słodko gaździna.

— Dyć teraz noc, nie dzień; pijcie ino, nie gadajcie nic — zachęcał Michał.

— Dejże co... przekąsić — zwrócił się Jędrzek nieśmiało do żony.

— Kiedy nic takiego niema, chyba... czy ja wiem... Bedzicie jedli chleb? Wczora upieczony, czarny, ale dobry. Masła bo też nic nie mamy... Takie wej dziadowskie święta, — jajdała Hanka — nic, ino chleb, czarny chleb... Myślałam, że babe jaką upiekę, kabyś ta... Nieporada. Bieda i bieda.

— Tak ono, wiecie, tak — dorzucił Michał, przepijając do Jędrzka. Nic nie poradzisz. Coż jeszcze wam... Jest was dwoje ludzi do roboty, a ja sam. Baby nie mam żadnej, a ten hycel, dyabelski ła-zipepek, Wojtek, choć to niby sierota, jako i po matce, nic nie słucha. Regimencki łąjdak. Dziesięć ma roków, ale obwieś taki z niego, co niech Pan Bóg i wszystka święci bronią. Pijcież...

— Przekąścież tym chlebem. Dobry je ta?

— Hoho! Moiściewy... Pijcież...

Jędrrek wypił już coś pięć kieliszków tej wódki, a że w izbie było ciepławo, toż to jęło mu się kręcić w głowie.

— Wodna jakasi ta wódka — bąknął podпиты trochę.

— Jaka?!.. — krzyknął, jak oparzony, Michał.

— Wodna, nie słyszycie? — międolił Jędrus.

— I mnie sie zdaje, ze jej cosi brakuje — dodała Hanka.

— Pedziałybyś wej — sapał zirytowany Michał — dyć sam cesarz takiej wódki nie pija, dyć ta wódka najlepsza, jaka może być na świecie...

— Bajecie... — wypadło pijanemu Jędrzkowi z gęby.

— Co?! Psiakrew jedna! — naklął rozżarty Michał. — Nie dość, żeście mi drzewko wycięli przy chałupie, nie dość, że wam najlepszej wódki w brzuchy nalał, to jeszcze, psie prawa, skomlicie?!

— Kto wam to drzewko wyciął? — podniósł się Jędrzek z ławy. — Czyje to drzewko było? nie moje?

— Jakto twoje?

— Moje!

— To ja tu przyszedł ze zgodą — —

— Kto was tu wołał?! Za drzwimi!..

Jędrzek rzucił się na Michała. Hanka próbowała ich rozerwać, ale cobyś poradził...

— Mamo! — krzyknął mały Kubuś z wyrka.

— Śpisz tam!...

— Wy bestyje, dziady krotne! Cesarska wódka wam nie smakuje? — wrzeszczał Michał, szarpiąc się z Jędrzkiem.

— Czy my was pytali o nią? — rozwarła Hanka gębę, jak wrota i pchnęła drzwi.

W tej chwili Jędrzek grzmotnął z całej siły pięścią w pierś Michała. Michał wyleciał za drzwi i tam się przewrócił. Pozgratał się jednak powoli, a gdy wyszedł na pole, mamrotał zły i rozogniony:

— Poznały się psiewiary... A przecież niedu-
żo kapnął tej wody. Myślę se: czystej wódki
ostawię sobie kapkę na Szczepana, a im doleję
wody; ale... kabyś z dziadami poradził...

— — — — —

W Jędrzkowej izbie smętno. Lampka dogasa —
gazdostwo zabierają się do spania. Dzieci: Kubaś
i Zosia, płaczą czegosi.

— Śpijcież już, pokraki — wymyśla im Hanka.
Kubaś uspokoił się nieco, Zosia ino jajda jeszcze,
ale już ciszej, bo sama.

— Śpij, Kubaś, śpij — jutro bedziemy se pić
kawę... — pochlebia mu matka.

— Ja wam dam kawy — mruczy pijany Jędrək,
kładąc się do łóżka. — Psiekrwie... Zgody im
trza było...

— Mamo — podniósł się Kubaś na wyrku —
czy Pan Jezus przyszedł już na świat?

— Śpisz, czy nie?! — wrzasnęła matka.

POWRÓT.

Wsiadłem w Poroninie do przedziału trzeciej klasy pociągu towarowego. Do Zakopanego. W przedziale siedziały dwie baby, kilku żydów nowotarskich, jeden posiwiał już gazda, wylegantowany strasznie, wygolony do cudu i czyściutki, jak panna. Pewnie jechał z jakiego »precesu« z Nowego Targu. A obok niego dwu tęgich, jak uchowane konie, parobków. Jeden z nich chwiał się na ławce, drżemiąc, drugi zaś nie mógł sobie znaleźć miejsca. To siadł, to znowu wstał, łaził od jednego do drugiego okna, śmiał się, wykrzykiwał, groził pięścią mijanym polom, cieszył się i radował i smucił.

— Skądęście? — zwrócił się nagle do mnie.

— Z Poronina jadę.

— Co też tam słyhać w tym Poroninie? Dawnoście tu? Co tu robicie? E, Boże! Słoneczko grzeje, a grzeje! Jak się to te grapy migają, migają z kolei...

— A wyście skąd?

— Ja? Z Zakopanego. He! Jerumterum! Sablina idzie po wodę! He-hej!

I zaczął machać rękami do Sabliny, co się kręciła po oborze z konewkami. Niedaleko od toru. Ale Sablina — miałem wrażenie — nie poznała parobka.

— Toście pewnie dawno nie byli w tych tu stornach? — zapytałem.

— Dość dawno.

— A gdzieżeście byli?

Parobek nachylił się, buchnął na mnie z szczerości wszystkimi oparami wódki, jakie ino w sobie miał, a potem rzekł z cicha:

— Z hareštu...

— ...Z hareštu... Wicie, wicie...

— I za coście też tam siedzieli?

— Za co? Za com siedział, tom siedział, alem siedział. Pono było za co.

— A długo? Miesiąc, dwa, rok?

— Kielo ta tego było, to było, ale było! Jaz

mnie dyabli brali! Nic i nic, ino siedź, duś sie, rób ta jakiesi posługi dziadówskie, co to ani na ucieche, ani na siłę... Mocny Boże!

— A ten też siedział? — wskazałem na drzemiącego towarzysza.

— Nie. On wyjechał przede mnie. Popili my se... E, niech ta już Bóg broni każdego od hareštu. Przecie to ino klić. Ciemno, niewidno, zaduch — Jezus Maryjo! Tu w człeku siła wre, ten murby ozwalił łbiskiem, a tu siedź. No — posiedziało sie. A przecie i cłek nie z wody... No to śpiwam. Śpiwam, śpiwam, Jezus Maryjo — tak śpiwam. Nic nie wyśpiwasz. Nic. W sercu markotno, za śpiwkami zbacują sie dni i noce, pijawy i tańce, dziewczki ozłożyste... Nima i nima rady!

Nagle zwyrtnął się ku oknu.

— Siustowy! He! Jezus Maryjo — Siustowy, brat mój! Wicie, jaką se postawił chałupine, jakie se to ma dzieciska?...

W tej chwili porwał duży pakunek z półki i rzucił go przez okno pociągu na łąkę. Dzieci Siustowego puściły się poń z obory cwałem.

— Hoho! Fajne dzieci — wicie, jak to przebieierają temi nozkami, Siustowego dzieci...

A dalej łąził po polu, poza stajnią, spętany, siwy koń Siustowego.

— Siwy, siwy! Nie masz, biedaku, co gryźć! Nie masz!... Mójś ty! Patrzysz se na mnie, jako jadę — poczkaj, uwidzisz, jako pójde... na nogach... Eh, siwy! To my sie przecie dawno nie widzieli...

I zakręciły się łyzy Siustowemu w oczach. I już nie gadał nic, ino patrzył z pociągu na te rzędy chat, domków i will, co stoją po prawej stronie toru, gdy się podjeżdża ku Zakopanemu. Po chwili podniósł oczy, hań, ku Królom pono — zacisnął pięść i rykiem piekielnym zaśpiewał:

Powiedz-ze, dziewczyno,
Komu wiąksa krzywda — —?
Ja ku tobie chadzał,
A ty ku mnie nigda!
He — hej!

Zachwiał się, pogroził strasznie miłośnie, popatrzył potem na mnie i zaśmiał się.

— Bo to i tak bywa... — dodał.

— Jako?

— Tak... różnie... — zatoczył zygzak przed sobą.

Zbliżaliśmy się do stacyi. Siustowy obudził towarzysza i brał się ku wyjściu.

— Franek, Siustowy Franek... hehej! Idziemy do żyda? — mamrotał zbudzony.

— Nie, bracie — odparował Siustowy. — Nie. Śtery reńskie mam, śtery dam matce. Jej wieżę...

Widać nie mógł się doczekać chwili, kiedy pociąg stanie, bo wychylił się znów przez okno.

— Wicie! — Jezusie mój — krzyknął. — Dyć matka na stacyi — biedactwo siwuńskie. Hehe! Wyszła se ku mnie macierz moja, kochanecka moja, wierna moja matka! — wrzasnął wreszcie na całe gardło załzawione.

A tu siwiuteńka, wpół zgięta, podparta na wierbowym kijaszku kobiecina podnosi omglone, małe oczka i uśmiecha się łzami.

— Franuś...

Siustowy buchnął wszystką siłą w drzwi — zdało się, że cały wóz wywróci — i skoczył ku matce.

— He, matuś!...

Objął ją, przycisnął ku sobie, pocałował ręce.

— He, matuś, gołąbecko!

A ona nie mówiła nic, ino patrzyła weń przez łzy i uśmiechała się słodko, upojnie.

POGAŃSKI BÓG.

Wołali do niego „Jędrus”. Babka, idąc z kościoła, wstępowała zawsze do brodatego żyda i kupowała cukierki, takie śliczne, czerwone cukierki dla Jędrusia. Przechodząc koło gazdostwa Twardoszków, cichuśko zazierała poprzez płot na ich obszerne obejście, a skoro tylko zdybała swemi siwiutkiemi oczkami Jędrusia, wołała go radośnie:

— Naści, Jędrus! — i wpychała mu w otwarte szeroko przygarście moc cukierków za grajcar, a w niedzielę lub święto nawet za dwa.

Dziadek sprawiał mu potajemnie młynki wodne, takie, co to ino postaw je na dwóch widełkowatych patyczkach nad małym potoczkiem, a tak ci będą ciapkać i mleć, że hej! Ojciec spozierał na Jędrusia również potajemnie, w duchu-sercu dużo

myślał o nim. A matka!... Boże litościwy! Dyc nikt nie obarcza dzieci tylu nadziejami i taką wiarą w nie, co matki. Jędrus, choć miał dopiero ośm lat skończonych, czuł biedak ten ciężar nadziei na sobie. Nieraz go gniótł nawet, ale Jędrus był tęgim i nie belejakim chłopcem, tożto medytował se ino i siedział cicho. Gniecie?... Niechże gniecie. Potem ja przygnietę — obiecywał sobie po cichu.

Jędrus miał różne talenty. Największy zaś i zupełnie niezaprzeczony miał talent do zbijaczki i psoty. Broił, jak ino mógł, najgłośniej i najszczerzej, dokazywał, że bąta trza było na niego — ale też miewał i dobre serce. Pozbijał garczki, nadszarpał piec, wywrócił młodszą siostrzyczkę (tę smołę...), Kubusiowi od stryka wybił oko, ze szkoły uciekł oknem podczas lekcyi — ale.. cóż mu zrobić? Przyjdzie Jędrus do domu, a zacznie cuda-nie-cuda opowiadać o kawkach na kościele, o tem, jak się to listeczki bukowe śmieją, kie człek próbuje potrząść pniem, jak ksiądz nie umie uczyć (— no, no! Jędrus!...) i to i owo, tak zabaczą se w chałupie do znaku o karze, jaką mu mieli wymierzyć, zabaczą o robocie na oborze, a ino słuchają dościpnych wywodów tego małego pędraka. Jędrus

też powoli coraz ładniej, udatniej i zgrabniej zmyśla przeróżne historyjki i coraz piękniej, coraz milej je opowiada. Ojciec nawet zauważył już kilka razy, że „z Jędrusia byłby ksiądz“ — a matka za każdym razem dodała: „nie belejaki ksiądz“.

— Trzaby go dać do szkół.

— Spróbujmy — uśmiechnęła się siwiutka matka.

Jędrus nie wiedział nic o tem postanowieniu, a gdyby się był nawet dowiedział, nie zrobiłoby ono na nim zbyt silnego wrażenia. Dawno se już sam obiecał, że, jak ino podrośnie, zaraz pójdzie w świat — bo któżby tu wysiedział w tej dziurze?

Na dziewiąty rok mu już szło, kiedy kończył drugi stopień w szkółce; ojcowie więc uznali, że jest to najstosowniejsza pora do oddania go do szkoły w Nowym Targu, gdzie uczą nawet niemieckiego, a wreszcie po Nowym Targu może i do Krakowa. Bóg wie najlepiej, jak to tam będzie, bo jest od tego.

Przez cały zatem maj i czerwiec, ostatnie czasy nauki w Odrowążu, tatusiek pilnował i spozierał bystro na Jędrusia, nieraz zaś odprowadzał go nawet ku samym drzwiom szkoły, żeby „lofer“ nie łajdaczył się poza szkołą. Tak go już chcieli od-

dać nauce, że nie naganiali go nawet do paszenia krów po południu.

Nadszedł dzień rozdania świadectw. Od stopnia postępu zależały dalsze losy Jędrusia. Ojcowie ubrali go w ten poranek — taki pełen słońca, cichy, rośny poranek czerwcowy — ubrali go w bielusią, nową koszulę, w porteczki z sznurkiem w pięcioro i w serdaczek barani, na którym śmiały się kwiatki, udatnie powyszywane. Okrągłutki kapelusz, zdobny w orawskie kostki, włożył se Jędrus z zbójnicką fantazyą na czupurną główkę i cały odświętny stanął w progu, chaty. Miał iść po świadectwo. Ale nie pójdzie sam. Pójdzie z nim tatusiek, bo co znaczniejsi gazdowie muszą być na egzaminie. Jędrus czeka na tatuśka. Po chwili otwierają się ciężkie wrota od białej izby i zjawia się ojciec. Strasznie ładny. Siwe, srebrzyste włosy jarzą się na jego głowie, jak łan zboża dojrzalego, prześwieczonego idącym ponad las księżycem — oczy spokojne, ciche, patrzą wnikliwie i życzliwie na Jędrusia. Jędrus dziwuje się. Spoziera na wygoloną, twardą twarz ojca, która wygląda tak, jakby ją kto wyciosał ze złomów skalnych. Spogląda na serdak, na portki, na kerpce

tatuska... Musi być wielkie święto, kiedy wszystko na ojcu takie paradne i czyste.

— Chodźmy — rzekł ojciec do Jędrusia, wkładając kapelusz na głowę.

Tatusiek idzie przodem, syn za nim. Taki jest zwyczaj i tak się patrzy. Ale po chwili tatusiek zwalnia kroku, bo chce mieć syna przy sobie, na oku. Spoziera nań raz i drugi. Słodką dumą wydyma mu pierś tak, że aż cikliwie łyży w gardle się sączą.

— Jędrus...

— Co?

— Bącz-że se...

— Niby co?

— No... wszystko.

— Wiem.

Wchodzą do szkoły. „Gradus“ pana nauczyciela umajony świeżą smreczyną, na stole polne kwiatki pstrzą się, jak chusteczki dziewcząt w kościele. Po jednej i po drugiej stronie stołu poustawiane są krzesła, na których mają zasiąść gazdowie, radni, wójt, rada szkolna miejscowa, panowie z miasta i kto to wie, kto jeszcze. Stary Twardosz stanął przy drzwiach i nie śmiał podejść dalej. Dojrzeli go jednak starsi gazdowie i przywołali na honorne

miejsce. Siadł Twardosz na pańskim krześle, rozparł się dumnie, jak ino mógł i spojrzał po szemrzącej gęstwie dziecięcych głów. Dojrzał Jędrusia, — Bacz-że se! — wyrwało mu się niechcący. Dzieciska w śmiech.

W tej chwili weszli do sali ks. proboszcz i wikary, pan nauczyciel, rada, jakiś pan z ślicznymi guzikami złotymi i jeszcze kilku panów. Jędrusiowe serce dygotało, jak ptaszek, który się dostał niespodzianie w chytrze nastawioną sieć. Po odmówieniu pacierza, pan nauczyciel zaczął pytać na wrywki. Nazwiska chłopców i dziewcząt wylatywały z jego ust, jak kamyczki z procy, a odpowiedzi sypały się, jak żyto z worków do sąsiedka. Nikt się nie mylił — ani pan nauczyciel w pytaniach, ani dzieci w odpowiedziach. Akurat tak się zdawało, że to wszystko było umówione z góry. Gazdowie, niby ojcowie pytanych dzieci, mrugali na się oczkami i przemyślnie kiwali głowami, jakby chcieli rzec:

— Co za pędraki! Jak ci ta zaraz na wszystko najdą odpowiedź, że ani się spodziewasz.

Zaczął pytać ks. proboszcz.

— Magdalena Pęcherz! Ilu jest Bogów?

— Bogów jest jeden!

— Dobrze! Katarzyna Piśkor, słyszałaś, że Magdalena Pęcherz powiedziała, iż jest jeden Bóg. A w ilu on to osobach?

— Jeden jest Bóg, co ma trzy osoby.

— Nie tak się mówi. Bóg jest jeden we trzech osobach — rozumiesz? Piotr Smoła! Wylicz te trzy osoby.

— Bóg Ojciec, Syn Boży i Duk święty.

— Nie Duk, tylko Duch... No... a ile jest grzechów głównych? Franek Cysarz powie...

— Dużo...

— Nie pleć. Powiedz mu, Stafiera.

— Siedm.

— Słyszałeś, Cysarz? No... a ty czego tam chcesz, Twardosz?

Ręka Jędrusia sterczała właśnie ponad głowami chłopięcami. Po zagadnieniu go przez ks. proboszcza, Jędrus wstał.

— Proszę księdza katechety, czy Pan Bóg Ojciec ma brodę i czy kurzy fajkę?

— Co ??? !!!

— Bo u nas — — —

— Siadaj, ośle!...

Część dziatwy zadygotała momentalnie śmiechem — zobaczywszy jednak pienisty gniew ks.

katechety, zmilkła nagle. Panowie zaczęli kręcić wąsy, i tak, jakby pogwizdywać, ks. wikary rozdziawił szeroko usta, a gazdom zrobiło się „straśnie niepieknie“ na sercach. Wszyscy spozierali na starego Twardosza, który wolałby się w ziemię piorunem zapaść, niż siedzieć na tem honornem miejscu.

Nastąpiło szybkie rozdanie świadectw i nagród pilności. Gdy alfabetycznie doszło już do litery „T“ — ks. proboszcz zwrócił się do Jędrusia i rzekł:

— Dzieci wyjdą, a ty zostaniesz tu. Masz dwie godziny kozy odsiedzieć. Świadectwo dostaniesz potem, a książeczkę, którą miałeś dostać, weźmie lepszy uczeń.

Jędrus wstał — wysłuchał i znów siadł. Powoli dzieci powychodziły, panowie i gazdowie także, został ino Jędrus i tata, który chciał mu od razu „pomaścić“, ale od drzwi zawołał go ksiądz, więc rychło wyszedł. Jędrus usłyszał jeszcze zgrzyt klucza we drzwiach, potem nastąpiła tępa, osowiała cisza.

Zamknęli go. Cie-cie... Co mi za jedni. Adyć Jędrus, gdyby chciał, toby ino raz oknem wyskoczył na pole i tyleby go widzieli. Jędrus nie

chce zadzierać z dziadami, bo i tak już go tu więcej nie zobaczą. Wyrzął przez okno.

— Ehe! — zachnął się. — Ksiądz se chodzi koło kościoła z tatuśkiem i cosi gada na mnie. Zaczekajcie! Wy tak, to ja tak.

Jędrus otworzył se okno i czekał, skoro tatuśiek pocałuje księdza w rękę i pójdzie do domu. Jędrus wyskoczy przez okno i pójdzie popod same okna księżę do chałupy. Niesłusznie siedzi. Juści, że niesłusznie, bo on sie ino pytał, czy Pan Bóg... A ksiądz zaraz — „siadaj!“ Jędrus przecie wie, dlaczego się pytał. Bo u nich, w domu, wisi na ścianie taki stary, siwuiński obraz szklany, a na nim Pan Bóg z brodą i fajką... Jędrus wyskoczy teraz oknem, zdejmie obraz i przyniesie go księdzu. Nic się nie obezwie, ino przyniesie, pokaże i zaraz wróci z nim do domu. Spojrzał Jędrus jeszcze raz dokoła szkoły — nie było nikogo. Ojciec też już odszedł od kościoła.

Raz — dwa — trzy! I Jędrus już pędził drogą koło plebanii do domu.

Zdyszany wpadł wprost do białej izby ich chaty i od progu rzucił od razu okiem na ścianę, gdzie wisiął obraz Boga Ojca z brodą i fajką.

— Niema!... — wysapał przerażony. Na ścianie pomiędzy obrazami znać jeno było dużą, białą plamę, otoczoną wokół wieńcem burej pajęczyny.

— Tu wisiał przecie obraz! — utwierdzał się Jędrus.

W tej chwili wszedł ojciec.

— Już-eś tu? — zapytał.

— Kany obraz? — wyksztusił Jędrus — kany?

Ojciec sposepniał. Koło oczu zaczęły mu gonić jakieś wątle, białe ogniki, w głowie mąciła myśli dziwna, niespokojna mgła.

— To był pogański... Nie wolno... Ksiądz kazał zbić...

Jędrusiowi zaszyły oczy srebrnemi, nieokreślnie smutnemi łzami...

— Dlaczego, tatuśku, czemu?...

ZAWIERUCHA.

Jędrusia oddali do szkół w Nowym Targu. Dali go na stancję do rzeźnika, bogatego gazdy, bo u takiego zawsze prędzej wpadnie kość do gardła. Ale Jędrus nie dbał o kość. Z początku, zanim oswoił się z nowem otoczeniem i niezwykłymi stosunkami, Jędrus zdawał się więdnąć i tracić fantazyę. Powoli jednak przyszedł do siebie. Przestało go już boleć to, że mieszczańscy synowie nazywają go „wsiokiem“, nauczył się kłaniać nauczycielom, wywracać koszyki z gruszkami żydówkom, stroić śmieszki przed fryzyerem, żeby w roz-targnieniu popodrzynał swych gości itd. W ogóle Jędrus dość dużo już umiał. Nauczyciele zwrócili też nawet uwagę na niego, a jeden z nich, co uczył polskiego i niemieckiego, suchotnik, p. Roz-

koszny, nawet polubił Jędrusia. Nikt też inny, tylko Jędrus odnosił mu zeszyty. Za to pan nauczyciel nieraz pogłaskał go po głowie, a w domu często prosił go do swego stołu i mówił z nim długo o starych czasach. Jędrusiowi aż oczy wyskakiwały z ciekawości, gdy słuchał o Kościuszcze, Bartoszu, Chłopickim i innych wielkich bohaterach. Dziwiło go, że nauczyciel tak z nim za pan brat, ale mu się to okrutnie podobało i Bóg wie, czemu się chciał odwdzińczyć za te rozmowy p. Rozkosznemu. Bardziej jeszcze zadziwiał Jędrusia pan dyrektor, który ciągle chodził po kurytarzach i ryczał, jak wół, gdy coś działo się wbrew jego woli. Jędrus umiał go nawet naśladować, czem popisывał się często w klasie podczas pauzy. Ponieważ dyrektor miał złą pamięć i krótki wzrok, więc chłopcy nic sobie nie robili z jego ryków i dokuczali mu, jak mogli, najserdeczniej. Dyrektor krzyczał, bił, wsadzał do kozy, w rezultacie jednak wszystkie jego wysiłki bywały bez rezultatu, bo albo zapomniał nazwisko rozbrykanego chłopca, albo uciekającemu nie mógł się dobrze przypatrzeć i zapamiętać sobie jego wyglądu.

Raz przecież dopiął i dyrektor swego.

Co dwa tygodnie odbywa się w Nowym Targu

w poniedziałki jarmark, na który zjeżdżają i przychodzą gazdowie z całego Podhala. Po jarmarku, wczesnym rankiem zlatują się zaś wróble z całego Podhala i zanim magistraccy pachółkowie oczyszczą rynek, ptaszki niebożęta dłubią w śmieciu, wyszukują skrzętnie ziarenka, pozostawione przy główniejszych stanowiskach handlu zbożem, krupami i kaszą. Jędrus wstawał z łóżka równo z wróblami w owe wtorki, nie omieszkał zaś zwłaszcza wtedy, gdy w poniedziałek na jarmarku nie było nikogo z domu, z Odrowąża.

Było to w zimie, tuż przed świętami Bożego Narodzenia. Jak zwykle, Jędrus wstał skoro świt i cichaczem wysunął się na rynek. Koło figury św. Jana wróble ćwirkały najgłośniej, to też Jędrus ku nim skierował kroki. Cicho, powoli podszedł ku najliczniejszej gromadzie i stanął. Wróble nie zauważyły go, bo swobodnie rajcowały z sobą dalej. Gruby, najtłustszy samiec gwarnie wypytywał innych, skąd są, co porabiają i jak im się powodzi. Wróblice i co chudsze samce obskoczyły go wokół i ćwierkotały hałaśliwie, odpowiadając. Jędrus zasłuchał się do cna, tem bardziej, że trochę się rozumiał na wróblej gwarze. Niektóre epizody rozmowy wprost przykuwały

jego uwagę. Oto na przykład młoda samiczka zakręciła się koło czupurnego samca i pyta:

— Cyj-ześ? cyj? cyj? cyj?

— Swój, swój, swój...

— Cie-cie-cie... Jaki mi — zaczęła się boczyć.

— Cit! — i samiec przyskoczył do niej.

Stare, tłuste samczysko wskoczyło w środek gromady i zaczęło się witać z wróblami z dalszych okolic.

— Skąd-deście? skąd? skąd?

— Z Cich- Cich- Cich- ego-ego-ego...

— A wy? wy? wy?

— Z Odr- o- o- o- wąża-wąża-wąża...

— Cyj? cyj? cyj?

— Cygancyn — he-he-he! — zaśmiał się wróbel odrowąski.

Jędrusia opanowała chęć posiadania tego wróbla. I tak nie było wczora nikogo na jarmarku z Odrowąża, to se choć z wróblem dziś pogwarczy. Wyjął z kieszeni procę, precudny nabytek nowotarski i zmierzył. Wróble podniosły główki i nagle — „durrrr- rrr- niuu...” — poleciały gwarnie ku szkole. Jędrus za nimi. Koło szkoły było jeszcze pusto i cicho. Wróble poobsiadały ogołocone, przemarzłe do cna gałązki suchotni-

czych drzewek, stojących pod oknami mieszkania pana dyrektora i przedrzeźniały się Jędrusiowi. To go do znaku zezłościło. Najgłośniej zaś — здавало się — dokuczał mu wróbel, którego nie trafił z procy.

Jędrus stanął teraz pod pobliską latarnią i zmierzzył. Był tak podrażniony swobodną pogwarką wróbli, że ani się spostrzegł, kiedy wypuścił z ręki kamyk — i usłyszał piekielny brzęk szyby z okna dyrektora. Jędrusiowi aż się kolana zgięły z przerażenia. Nie wiedział, co począć. Strach przykuł go po prostu do miejsca, na którym stał i nie dał ruszyć ani wzdłuż ani w poprzek. Oczy zagapiły się z przełękiem w stronę podziurawionego okna i здаwały się oczekiwać jakiegoś strasznego wyroku, który stamtąd spadnie z większym jeszcze zgiełkiem i dokuczliwszą wrzawą, niż ta nieszczęsna szyba...

— Aa!... to ty — ryknął dyrektor z okna — czekaj! Dam ja ci...

Jędrus dopiero teraz poczuł nogi pod sobą i począł zmiatać z pod latarni. Spocony i podniecony niezwykle, przybiegł na stancję. Czas już był pójść do szkoły. Ale Jędrusia ogarnął znowu lęk przed dyrektorem. Może go zamknie w kozie i dziś,

w ostatni dzień nauki przed świętami — nie wypuści go aż nad wieczorem? Może go wyrzuci ze szkoły? Jezu! Co powiedzą w domu? Co powie ojciec, co powie matka! O-jej-jej-jej... Matka będzie płakać i mówić: „na tom cie posłała do szkół, byś mi wstydu narobił?“ Ej! te wróble, te wróble... I Jędrus zgoła już teraz nie wiedział, co począć. Jedna myśl jednak zaczęła mu się przekornie uśmiechać i wodzić Jędrusia za nos od ściany do ściany — myśl ucieczki do domu. Opuści jeden dzień — to cóż? Po świętach wróci, a przez ten czas dyrektor pewnie już zapomni o wszystkim i będzie spokój. Myśl ta zwolna pozyskała sobie Jędrusia w zupełności. Pocygał gospodarzowi-rzeźnikowi, że się uwolnił na dziś i że idzie do domu.

— Zginiesz w śniegach...

— E! — machnął ręką, pocałował gospodarza i zarzuciwszy tobolek na ramię, wyszedł.

Ledwo jednak minął kilka ulic, spotkał pana Rozkosznego, otulonego szalami i kaszlącego co kilka kroków.

— A ty gdzie idziesz o tej porze?

— Proszę pana nauczyciela, bo ja... i wróble... i pan dyrektor... to proszę pana...

Pan Rozkoszny popatrzył na chłopca uważnie.

— A, to ty więc byłeś tym nieszczęsnym. Ale po świętach wrócisz? Ty... ty... no, bądź zdrow... będę się starał usprawiedliwić... — ale to nie ładnie, nie bardzo ładnie, że uciekasz... Chociaż...

Zamyślił się nagle p. Rozkoszny i zdawał się nie widzieć już Jędrusia. Smutne jego oczy zawiodły się mgłą... Jędrus pocałował go w rękę i chciał odejść.

— Bo ja jestem chory — rzekł p. Rozkoszny.

Jędrus nie zrozumiał tych słów, bo były takie jakieś „ni przyszył, ni przyłatał“ i pocieszony dobrocią p. Rozkosznego, — puścił się w drogę.

— — — — —

Był dzień Nowego Roku. U Twardoszów smutno się jednak zaczął ten dzień, tak, jak i stary rok smutno się zakończył. Stary Twardosz leżał od kilku dni na twardej pościeli i stękał boleśnie. Wlazło mu coś w kości i ani rusz wstać z łóżka. Mdłym spojrzeniem obejmował miłośnie Jędrusia, którego odwiedzić nie mógł do Nowego Targu i kwękał lub mamrotał coś niewyraźnie. Matka łądowała tobołek babą, kołaczami, świeżutkiem masełkiem — wszystkim, co ino Jędrus lubiał i co było w domu. Wreszcie, gdy uderzyły dzwo-

ny na nieszpory, Jędrus ucałował gorącą rękę ojca, spojrzał wymownie na młodszą siostrę Zosię i przeżegnawszy się u drzwi, wyszedł wraz z matką. Staruszka ocierała potajemnie rzęsiste, gwałtem płynące łzy i przykazywała Jędrusiowi, żeby się dobrze dzierżał, o domu nie zapominał i nie rozrzucał pieniędzy (miał 20 ct.). Poprowadziła go aż ku kościołowi i pożegnała się z nim.

Przed Jędrusiem otwarły się dwie mile zaśnieżonej drogi, idącej przeważnie wśród białej pustki pól.

Znał tę drogę dobrze, bo szedł już nią kilka razy. Ale dziś ogarniał go dziwny niepokój i tęskność za domem — tak mu się wracać nie chciało! Jutro już szkoła. Do klasy wejdzie p. Rozkoszny — wypyta wszystkich o święta, o obyczaje przy wili, o ojców, siostry i braci, bo on już taki. On dopiero na drugi dzień zacznie uczyć i pytać chłopców. Ale dyrektor!... Jezu, co to będzie! Te wróble, te wróble — i ta zgiełkliwa szyba! Już on teraz wlezie za skórę Jędrusiowi. A może już zapomniał? Żeby mu Bóg dał jak najkrótszą pamięć...

Tak dumając, szedł Jędrus ku kapliczce, stojącej na granicy między Pieniążkowicami a Odro-

wążem. Tu przystanął na chwilę i spojrzał w stronę rodzinnej wsi. Była podobną do rozrzuconych głów ostu, wystających przy wczesnej zimie z śniegu. W całości widno było jeno kościół i szkołę, a już na przykład ze swej chałupy widział jeno dach, przywalony grubą warstwą śniegu. Jędrusiowi było okrutnie smutno i osamotniałe, bo szedł sam i to tak daleko... daleko... A z poza Żeleźnicy, co za Odrowążem górnje króluje, wyciągały się gęste, ocieężałe kłębiska zimnych chmur i zdawały się zdążać uporczywie za Jędrusiem, który już ruszył ku Pieniążkowicom. Jędrus drobił nóżkami, jak mógł najspieszniej, ale chmurzyska goniły go, dościgały, już — już były nad nim, jakby go chciały przytłoczyć i zmiażdżyć na nic. A wiał z nich chłód i ziaęb taki, że po wielokroć Jędrusia dojmował aż do szpiku kości, kurczył malutką rękę i parzył nielitościwie koniuszki palców u nóg, obutych w nowe kerpce. Jędrus zmykał coraz bardziej, aż wydostał się za Pieniążkowice i poza Dział, na drogę, idącą poprzez biel pustych do znaku pól.

Śnieg zaczął padać gęstymi, podobnymi do gęsiego puchu, płatami. Z początku podobało się to Jędrusiowi. Rad był, gdy w polach była cisza

i padał taki duży, gęsty śnieg. Z ochotą szedł naprzód i oglądał się poza siebie, na jedyne ślady, które zostawiał po sobie na drodze. Myślał sobie nawet, że ktoś pójdzie za nim i będzie ciekaw, kto też szedł tędy. Kto wie, kto będzie ten pierwszy, który pójdzie za nim tą samą drogą. Może jakiś dziad, cygan, albo pijak. Oni najczęściej chodzą daleko, — a nigdy im nie jest za daleko. Jędrus uśmiechnął się do swych domysłów.

Powiał wiatr. Puchy śniegu skłębiły się, zawirowały i opadły na ziemię. Nagle z przeciwnej strony przyszedł wiatr drugi i znów porwał w bezładny taniec lecące cicho płatki śnieżne. Za chwilę oba wiatry zderzyły się z sobą tuż koło Jędrusia i zaczęły się wodzić po polu, jak pijani parobcy, kiedy się biją. Ostry ziać zaczął ciąć szpilkami Jędrusiowe lica i oczka niebieskie. Śnieg jął go już teraz prześladować ze wszystkich stron — istnie tak samo, jak komary w lecie, kiedy się krowę pasie na miedzy.

Nagle zadudniało głucho i potwornie nad Jędrusiem. Piekielny świst przeszył na wskrós wszystkie jego kości i kosteczki, w oczach mu się zamgliło, dech zaparło, tak, że Jędrus przystanął.

— Jezu, Jezusicku... — wyszeptał.

Od północy szła straszna kurniawa i zawierucha. Już nie płatki śnieżne, ale skłębiony, zbity w rozszałe kłębiska i wały śnieg wił się z piekielnym rykiem, przypadając do ziemi, to znów wzbijając się w olbrzymie, kędzierzawe słupy. Szedł wał za wałem, słup za słupem — zderzały się z sobą, rozsypywały w zadymkę i znów uderzały na siebie, znów kłębiły się i znów konały z okrutnym, bezlitosnym chichotem. Na drodze w okamgnieniu tworzyły się czubate zaspasy i zapory, w których Jędrus co krok niemal zapadał po pas. Jak owca na spadzistą ubocz, Jędrus dobywał się lekko na nie, zwinnie przekraczał czubice, by się nie zapaść w środku, w najwyższym śniegu, wiatr jednak zawadzał mu strasznie. Niejednokrotnie, gdy Jędrus miał już nogę postawić na drugiej stronie zaspasy, wiatr rzucił mu w oczy kłęb śniegu, stósł go mocno i Jędrus zapadał w dół, grzął po pierś, po szyję nawet.

W tej zawierusze Jędrus stracił drogę, Nie rozeznawał już, gdzie jest i w którą stronę idzie. Za wiatrem i śniegiem szedł ostry, dokuczliwy mróz, krew ścinający w żyłach. Jędrusiowi było jednak ciepło, bo się zgrzał przy mocowaniu się z zaspami. Zdając sobie sprawę z tego, że stracił drogę,

nie chciał już iść dalej, zaczął jeno wodzić oczyma wkoło, czy nie dojrzy gdzie jakiego drzewa, gdzieby się mógł przytulić i poczekać, aż się uciszy i śnieg przeminie. Ale nad kilka kroków wokół nic nie było można rozeznąć! Zdjął go strach. Nieraz przecie słyszał, że ludzie giną w śniegach i kostnieją na śmierć.

— O Jezu, Jezusicku...

Przed oczyma stanęła mu spłakana matka i chory ojciec i Zosia. W chałupie tak ciepło, a on tu — sam.

Zawierucha znowu się wzmogła i nie można już było poznać, czy śnieg pada dalej, czyli też wicher ryje zaspiska i wyrzuca je w górę, ciska, rzuca na wsze strony, przytłacza ku ziemi i znów wyrzuca w górę. Jędrus nie mógł już postąpić ani w przód, ani w tył. Dostał się w jakiś wir śnieżny, tłoczący z góry i z dołu, szarpiący, jak zły pies, ubranko, wciskający się za kark, pod pazuchy, do kerpców, wszędy.

Momentalnie uciszyło się i wtedy Jędrus dojrzał jakąś starą, zgarbioną wierzbę, o kołtuniastej głowie. Resztką zbłąkanych sił rzucił się ku niej, ale powrotny wicher był mocniejszym od niego i wdeptał go w śnieg. Jędrus zaczął krzyczeć bez-

radnie, wydobywać się na wierzch i pracować kostniejącymi rączkami na wszystkie strony, jak tonący w głębinie wodnej. Wydostał się zaśnieżony, z przerażeniami oczkami, nabierającymi zwolna bieli żywiołu, który tak strasznie nim poniewierał. Jeszcze raz rzucił się Jędrus całą siłą ku garbatej wierzbie i szamocąc się z wichrem, dobił wreszcie do niej. Obu rączkami objął ją, jak matusię, przytulił się ku niej miłości i zaczął płakać głośno, głośno...

Powoli osunął się w śnieg, głowę wsparł o porany starością pień, łzy otarł i jął się wsłuchiwać w groźny ryk wichru i głuchy płacz szamocących się z sobą trąb śnieżnych. Uczuł dobroć drzewa, które daje zaciszną i schronisko jakie takie. Przytulił się jeszcze mocniej do niego, rączęta schował za pazuchę i przymknął oczka. To tylko tak, na chwilę, zanim przejdzie kurniawa i wicher ucichnie. Potem wstanie, rozejrzy się dokoła i pójdzie dalej. Ooo... jak to dobrze, że ta wierzb-biedaczka stoi wśród pól. I jaka ona ciepła... jaka cieplusia... Aaa... Strasznie jest miło znaleźć zaciszne miejsce w polach wśród takiej naremnicy. Tu nawet lepiej, niżby było w domu, w izbie. Dokoła huczy, jęczy, ziąb tnie, wicher

siecze, śnieg mroczy — a on, Jędrus, siedzi se pod drzewem i ciepło mu i coraz cieplej — i któż mu co robi? Nawet mu się zdaje, że przy ognisku tak nie jest ciepło... Dziwny, słodki war idzie od nóg, rozłazi się po całym ciele, grzeje, przymyka oczy, usypia, usypia... Haaa... cicho... ciachuśko dokoła... tak dobrze...

Ktoś szarpnął nim nagle. Ale Jędrus nie chce otworzyć oczu. To pewnie ten sam wichur, bo któżby inny? I tu mu nie chce dać spokoju. Nagle — uczuł, że ktoś podnosi go w górę, wysoko, wysoko, a potem spuszcza w dół. Jędrus leci, leci, leci i bęc — istotnie znalazł się o kilka kroków od wierzby. Czuje, że ktoś tarmosi nim, rzuca go to tu, to tam — i takie to śmieszne, bo Jędrus wie, że rzucają nim, a nic go to nie obchodzi. Nic go nie boli, bo śnieg miękki, jak pierzyna. Chciałby, żeby tak jeszcze raz poleciał w górę, a dotem znowu w dół. I znowu uczuł Jędrus, że go ktoś tarmosi, a nawet bije. Czuje, że ktoś trze jego ręce, czoło i znowu ręce. Czuje śnieg na rękach, na czołe, wszędzie, coś się w nim budzi, odzywa, chce wołać, — coś go woła, jakiś głos nieznajomy, jakiś gruby, jakby płaczący głos. Jędrus otworzył oczka i ujrzał pochylonego

nad sobą ogromnego, barczystego parobka, podobnego do zwisającej turni...

— Kto to? — wykrztusił przerażony.

— A ty pędraku jeden! — krzyknął parobek i zaczął Jędrusia bić, rzucać po nim śniegu, przewracać go na wszystkie strony, aż Jędrus zezłoszczony porwał się na równe nogi i krzyknął z całej siły:

— Daliście mi jeść, że mnie bijecie?!

— Ja ci dam „jeść“. Toś tu po to przyszedł, żeby zamarznąć?! Chybaj tu!

I znowu zaczął po swojemu ogrzewać Jędrusia.

Tarł go śniegiem co sił, podrzucał nim, a kłął, co się ino zmieścić mogło.

— Czyj ty jesteś? — zapytał go po chwili.

— Co wam do tego? — odparł Jędrus.

— E! ty hyclu jeden — rozsierdził się parobek — to ty mi tak bedziesz odpowiadał?! Czekaaj!

I już-już chciał pasek odpiąć od portek, ale Jędrus tymczasem się namyslił i powiedział, że jest z Odrowąża.

— Czyj? — zapytał parobek.

— Twardoszów...

— A coż ty tu robisz?

— Bo ja idę do miasta... Ja szkolnik... A tatusiek chory i nie miał mie kto odwieźć...

— To twój ociec poniżej kościoła — haj?

— Haj!

— Widzisz, łazipepku, to ja go przecie znam. Chybaj na plecy.

Jędrus był zdumiony tą propozycją, a nawet zląkł się jej trochę.

— Ja zajdę sam...

— Chybaj, pokieli cie proszę, bo jak cie weznę w obertasy, to tak ci będzie słono, że hej!

— A skądżeście wy? — zapytał nagle Jędrus, by wiedzieć, komu się oddaje w opiekę.

— Ja?... Cie... jaki ciekawy... cie go...

Parobek zawahał się, po chwili zaś wziął chłopca za rękę i dobrotliwie gładząc go po licach, zaczął:

— No... nie bój się nic... Nic ci się złego nie stanie, zaniesę cie het! ku miastu... Szkoda cie i żal... Ja — to widzisz — jestem Duda... Franek Duda...

Jędrus odskoczył nagle w bok, wytrzeszczając na Dudę przerażone oczy.

— To wy... ten złodziej?!

Łzy nabiegły do oczu Jędrusia i przestrasz dziecięcy go ogarnął.

— No... nie bój się...

Duda skrzywił się boleśnie i spojrzał przed się tak, jakby chciał odejść. Ale żał mu było chłopca i jeszcze raz zaproponował mu swe plecy. Tym razem Jędrus zebrał odwagę i pomyślawszy w duchu — „co będzie, to będzie, siubienic nie będzie“ — wydrapał się na plecy złodziejskie. Duda wziął przed siebie tobolek, Jędrusia se poprawił na plecach i ruszył w drogę.

— A skądżeś ty słyszał o mnie? — zapytał po chwili Jędrusia.

— Dyć was tu wszędy znają, bo kradniecie — odpowiedział prostodusznie Jędrus. — U Kwaka ukradliście trzy wałki płótna, u Jasice pięć kur i dwie gęsi, u Stafieri pono całego papierka...

— Wicie, wicie, jak ty to wszystko wiesz — przerwał mu Duda. — Tego cie to uczą w szkole?

— Nie uczą, ale przecie wiedzieć wolno.

— He... jaki mi mądrała! — przedrzeźniał się złodziej.

Znowu umilkli. Za chwilę złodziej mówił:

— Twojego ojca znam dobrze. Fajny chłop. A co? to on teraz chory?

— Chory.

— A ktoż pilnuje gazdostwa?

— Mamuśka i Zosia.

— Ja znam wasze gazdostwo. Bogaci-ście, konia macie ładnego, łonij mieliście pięć krów...

— Teraz mamy pięć i jałówkę — zaczął się Jędrus chwalić. — Gęsi mamy jeszcze sześć, a trzy zarżnięte na święta...

— A kanyż te gęsi trzymacie? -- zapytał Duda od niechcenia.

— W sieni za przegródką, bo w stajni niema miejsca, a w chlewie zimno. W stajni za to siedzą kury...

— A nie pozabija ich koń, albo krowa?

— He! — mają przecie kurnik na noc, a w dzień to uganiamy, gdzie chcą...

I tak gwarząc o gazdostwie Twardoszów, następnie i o gazdostwach najbliższych sąsiadów, zbliżali się zwolna, ominąwszy z daleka Lasek, gdyż Duda nie chciał iść przez wieś — ku Nowemu Targowi, brnąc w uciszonym już śniegu. Gdy już byli nieprecz kościółka świętej Anny w Nowym Targu, Duda zrzucił z siebie Jędrusia, dał mu tobolek, wyjął z miechurka szóstkę i wręczając ją Jedrusiowi, prosił go, żeby nikomu o nim nie opowiadał.

— A tu masz szóstke, kup se herbaty i ogrzej się...

Jędrus naprawdę już teraz nie wiedział, co się temu Dudzie stało. Szóstki nie chciał przyjąć, ale Duda zaczął kląć i zmusił go do przyjęcia. Na pożegnanie Jędrus chciał go nawet pocałować w rękę, ale Duda nie dał się „babrać“. To też Jędrus wdzięczny do głębi serca, przyrzekał nie wspominać o nim nikomu i jak skończy szkoły, a będzie jakim panem, albo księdzem — dać Dudzie dużo pieniędzy. Duda poklepał Jędrusia po ramieniu i rozeszli się. Po chwili, gdy Jędrus już znikł wśród pierwszych chałup, Duda przystanął, popukał palcem po czole, jakby chciał coś zapamiętać sobie lub przypomnieć...

— Twardosz... niżej kościoła... sześć gęsi w sieni za przegródką, a kury w stajni... — szeptał.

— — — — —

Wąziutką drogą wszedł wreszcie Jędrus w ulicę św. Anny i nagle uderzył go niezwykle widok. Na samym skrawku drogi do kościoła świętej Anny i na cmentarz kończył się dziwny, wielki pochód, a zamykały go dzieci szkolne. Zziębnięty i posiniąły Jędrus smusił się siłą woli do przyspieszenia kroku i połączenia się z tym pochodem. Wiedział,

że to czyjś pogrzeb, ale czyj? I co się stało, że dzieci szkolne idą na cmentarz parami? Serduszko zaczęło mu bić niespokojnie, pomieszane domysły trzepotały mu się w głowie, jak ptaszki wystraszone z gniazd, ciekawość popędzała go coraz bardziej w stronę cmentarza. Dogonił wreszcie ostatnie pary szkolników i złączył się z nimi.

— Czyj to pogrzeb? — zapytał pierwszego chłopca.

— Nie wiesz? To nauczyciel Rozkoszny umarł...

— Jej! — wykrztusił Jędrus. W oczach mu pociemniało, w głowie powstał istny męt. To przecie być nie może. Taki dobry i taki dziwny a umarł. Jakże się to mogło stać? Czemu dyrektor nie umarł, człek przecie starszy już i taki niedobry? Więc pan Rozkoszny umarł i już go nie będzie! Pójdzie Jędrus do szkoły, a pana Rozkosznego już niema! Siada Jędrus w ławce, przygotowuje zeszyty, czyste i kaligraficznie zapiskane, zaznacza sobie w książce stronicę, na dziśadaną i czeka, kiedy się drzwi otworzą — — i wejdzie, wejdzie, kto wejdzie? Bo pana Rozkosznego już niema i nie będzie. Kończy się nauka, a Jędrus czeka — na kogo? Kiedy już nie-

ma p. Rozkosznego i nie trzeba mu zeszytów odnosić do domu. Oj, panie nauczycielu, panie dobry, pocoście zmarli? czemuście zmarli? kiedy Jędrus tak was rad widzi i tak mu będzie biednie i smutno bez was? Oj, panie nauczycielu, panie najlepszy...

I zakręciły się w malutkich, niebieskich oczkach Jędrusia łzy ciche i pełne bezkresnego żalu. Wstydzi się płakać przed kolegami — ale cóż ma począć, kiedy gorące łzy idą i idą, płyną i płyną z oczu i ani ich wstrzymać, ani im płynąć nie można zakazać. Uczuwa Jędrus taką ogromną samotność, jaką czuć pewnie musi ta stara wierzba wśród pustych pól, która go k'sobie tuliła w czasie okrutnej zawieruchy. Już teraz Jędrus sam, okropnie sam.

— A kiedy umarł? — rzucił znów pytanie, gdy już stali na cmentarzu.

— Zawczorem; — zadusiły go jakiesi suchoty...

— Suchoty? — A cóż to takie?

— Nie wiem — suchoty...

Teraz Jędrus o niczem już nie myśli, jeno o tych suchotach. Cóż to za stwory, co za chorość? Nie mogąc znaleźć odpowiedzi na te pytania, Jędrus skurczył się z zimna w kabłąk i stał i słuchał

widmowego szumu ogołoconych drzew, żałobnych śpiewów, jakichś twardych, brzękliwych słów — potem usłyszał jakby grzmot — potem śpiew, szepty — płacz — a wreszcie wszyscy zaczęli odchodzić od grobu. Jędrus ruszył z chłopcami.

Gdy już mijał bramkę cmentarną, ktoś chwycił go za ramię i zatrzymał.

— Czekaj-no.

Jędrus obejrzał się. Był to sam pan dyrektor. Wszystkie wróble, brzęk szyb, proca, głos groźby z okna, wszystko to uprzytomniło się Jędrusiowi momentalnie. Nie zapomniał więc pan dyrektor — nie zapomniał!

— O Jezu, Jezusicku...

— Chodź-no tu — zawołał go dyrektor na bok. — To tyś wybił szybę?

— Bo wróble i... ja...

— Ty?

— Ja.

— Dobrze, żeś się przyznał. Opuściłeś potem 5 godzin nauki, tak?

— Bom się bał przyjść...

— Opuściłeś, czy nie?

— Tak.

— Ponieważ przyznałeś się do winy, kara bę-

dzie lżejszą. Jutro popołudniu odsiedzisz dwie godziny kozy, a rano przyniesiesz do kancelaryi 30 ct. na szybę, którą zbiłeś. Bądź zdrow.

— Dobrze — wyszeptał Jędrus, skłonił się, jedną nogą szurgając po śniegu, i odszedł.

Opanowało go dziwne, jałowe jakieś uczucie. Dwie godziny kozy i 30 centów. Trzydzieści centów... Akurat tyle ma, akurat tyle... Dwadzieścia dostał od mamuśki, a dziesięć od złodzieja, Francka Dudy...

— Akurat trzydzieści — szeptał se Jędrus, zmierzając na stancję. — Nic se nie sprawi, ani sie harbaty nie napije... Da dyrektorowi na szybę... Ale coby sie stało, gdyby mu Franek Duda nie dał tych dziesięciu centów? Przecie ten Franek Duda człek dobry... Jędrus zaczął już nawet i nad tem myśleć, kto lepszy, Franek, czy dyrektor — ale myśli zaczęły mu się plątać i uciekać.

Natomiast w oczach stanęła mu znów smutna twarz p. Rozkosznego i z nią wszedł w progi domu, w którym stał na stancyi.

MOJA WSPÓŁLOKATORKA.

Dobiegał już dzień czwarty po pierwszym, a ja nie tylko, że nie miał nowego mieszkania, alem go jeszcze nawet nie szukał. Gospodyni, u której dotąd mieszkalem, fuczała, jak samowar, z irytacyi, że nie opuszczam niezapłaconego lokalu. Mnie to w gruncie rzeczy nic nie obchodziło, a swoją drogą, tak mi się nie chciało szukać nowej budy, że gdyby mi tylko dała najdelikatniej do zrozumienia, iż mogę jeszcze pozostać dalej, byłbym uiścił (no-no!) wygórowany czynsz. W dniu czwartym zaszły jednak wypadki, które lenistwu memu dały się dobrze we znaki. Ni stąd, ni z owąd — rano — o godzinie dziewiątej zjawia się w moim pokoju młoda kobieta z zawiadomieniem, iż pokój już wynajęła i jutro (t. j. 5-tego) chce

się doń wprowadzić. Z łóżka jeszcze dałem jej lekcję porządną o przyzwoitości, skutkiem czego w końcu orzekła, iż nie jutro, ale dziś jeszcze wieczorem mieszkanie „moje“ zajmie.

— I owszem. Nic nie mam przeciwko temu. Jeszczem nigdy nie mieszkał z kobietą. Ciekawym, jak to będzie wyglądać.

Zirytowana, wyszła. Ubrałem się czemprowadziej i poszedłem do biura. Po obiedzie jednak puściłem się w pogoń za mieszkaniem. Ogarnęła mnie istna rozpacz. Wszędzie wiszą kartki, tylko nie z tem, czego szukam. Wreszcie — nad wieczorem — znajduję mały, zgrabny pokoik, cóż... kiedy jeszcze zajęty. Pukam do lokatora.

— Proszę.

— Czy to ten pokój do wynajęcia?

— Aha — mruknął.

— A kiedy będzie wolny?

— Phi... Ja nie wiem. Gospodarz mnie wyrzuca, ale — Bóg świadkiem — nic nie poradzi, bo ja nie mam jeszcze mieszkania.

— Tyle przecież mieszkań do wynajęcia.

— Taak? A pan specjalnie chce ten pokój wynająć...

— Tak jest, specjalnie.

— Oryginalny z pana specjalista — przepraszam za śmiałość...

— Owszem, owszem.

— Ja jeszcze nie szukałem mieszkania.

— A ja dziś dopiero...

— To pan — zdaje się — również ma tę samą chorobę, co i ja.

— Chorobę?

— Thek... Genialne, doprowadzone do artyzmu lenistwo...

— Pochlebia mi pan.

— Pan pozwoli, że mu się przedstawię — Proch jestem.

— To ja właściwie... Ignacy Bramka.

Było nam bardzo przyjemnie. Zналиśmy już swoje nazwiska. Słyszeliśmy wiele, bardzo wiele o sobie. Zwłaszcza p. Proch słyszał o mnie dużo. Podobały nam się wzajemnie nasze zajęcia — w sam raz odpowiadały naszemu charakterom. Zawarliśmy nawet malutką przyjaźń, a c o n t o której zaczęliśmy sobie robić ustępstwa. Pan Proch wyprowadzi się jutro rano — wszystko jedno, gdzie — bo przecież dobrze rozumie moją genialną chorobę. Ja go później odwiedzę i t. d.

Cudnie!

Wróciłem do domu i oczekiwałem przybycia nowej lokatorki. Wszakże nie będzie bezczelna — myślałem. Za chwilę jednak usłyszałem stękania ekspresów, jęk zrzuconych z wozu rzeczy i dyrygujący pisk młodej kobiety. Więc dotrzymała słowa. To mi trochę zaimponowało. Swoją drogą i ja tym razem nie byłem gorszym od niej, bom słowa również dotrzymał: nie wyprowadziłem się. W kilka minut łaskawa pani zjawiła się w progu „mego“ mieszkania i tonem co najmniej teściowej z Łyczakowa oznajmiła mi, że się wprowadza.

— Bardzo mi przyjemnie.

— Zobaczymy — syknęła, jak żmija.

Nie zapomniałem jednak tymczasem przyjrzeć jej się nieco dokładniej. Była „wcale, wcale“. Oczy mętne, włosy niezdecydowanej szatynki, twarz ściągła. Postać na ogół figlarna i do rzeczy. To mnie trochę zajęło i pocieszyło. Ostatecznie mieszkam z kobietą, której się wstydzić nie można.

Okazało się, że ta figlarna osoba umiała być także niezwykle energiczną. To nie ja — niedołęga, niezaradny, „roztrzepany“ i t. d. W prze-

ciągu 15 minut były jej rzeczy w pokoju. Szafa, biurko, umywalnia, łóżko, drobiazgi, niedrobiaszgi i inne konieczne rzeczy. Gdy wszystko, co miała, wyładowała już w „moim“ pokoju, weszła tryumfalnie i stanąwszy koło okna, spokojnie, chłodno rzekła:

— Proszę się wynosić.

— Nie mogę.

— Sprowadzę policyę — tupnęła bardzo zgrabniutką nóżką.

— Nie wierzę. Zresztą i policya nic nie poradzi na mój upór. Kto wie nawet, czy nie wyprowadziłaby stąd pani.

Milczenie. Pokój cały zavalony jej rzeczami. Niema nawet gdzie usiąść. Sparłem się na łóżku.

— Pani tutejsza? — zapytałem grzecznie.

— Mój panie!...

— Ostatecznie musimy się pogodzić z tą myślą, łaskawa pani, że przez jedną obrzydliwą noc zamieszkamy razem. Jestem niezwykle porządnym i spokojnych uczuć człowiekiem. Zapewniam panią.

— Pan mnie obraża!

— Nigdy nie obrażam kobiet. Mam specjalny dla nich sentyment, jakkolwiek nie zasłużyły na to. Nieprawdaż?

— Będzie pan łaskaw odejść... i...

— Przenigdy. Za nic w świecie. Dzisiejsza noc będzie miała dla mnie dwojakie znaczenie: *p r i m o*, że po raz pierwszy w życiu działam według raz powziętego planu i wbrew przeszkodom, łamiącym wolę takich, jak ja, ludzi bez woli — a *s e c u n d o*, że również po raz pierwszy w życiu mieszkam z kobietą. Jest to niezmiernie interesujące i dla wyegzaminowania mej duszy obecnie, o g. 9 tej wieczorem, wprost już konieczne.

— Panie...

— Pozwoli pani, że dodam jeszcze słów kilka. Pani spodobała mi się niezmiernie z tego powodu, że — jak przypuszczałem do tej chwili — nic sobie pani nie robi z opinii burżujów, którzy niezawodnie drapieźnie zajmują się już panią, a następnie i dzięki temu, że w postępowaniu jej wobec mnie było coś z samodzielności i brutalności ludzi energii i czynu. Okazuje się, że te piękne przypuszczenia o pani pozostają nadal tylko przypuszczeniami. Mimo to zapewniam panią o głębokiej sympatii, jaką się cieszysz u mnie — zdobyłaś ją sobie w przeciągu kilkunastu minut zaledwie.

— Czy pan przestanie?

— Jeśli to panią nudzi — mogę przestać i pójść spać.

Wstałem — wyciągnąłem krzesło z kąta i postawiłem je koło łóżka. W tej chwili biedna moja współlokatorka wybuchła szalonym płaczem.

— Co pani się stało?! — zapytałem zaniepokojony.

— Powinien pan iść do hotelu spać!...

— Nie mogę, bo mnie na to nie stać!

— Ja panu zapłacę.

— Ależ, pani!... Jeszcze się nie znamy dobrze, a pani chce mi już pożyczać, czy nawet dawać pieniądze... Nie jestem jeszcze przygotowany na to. Zresztą — jeśli ta sytuacja panią obraża (choć w to nie wierzę) — mogę się położyć w ubraniu. Pozwoli pani jednak, że ściągnę buciki...

— Pan jesteś straszny.

— Tak, jestem w strasznym położeniu.

— Nie mam nawet gdzie głowy podeprzeć, a pan na złość rozwala się w tym pokoju.

— Nigdy nie robię na złość, tylko tak, żeby mi było — jeśli nie najlepiej — to przynajmniej

dobrze. Wyjątkowo robię wielkie ustępstwo i kładę się w ubraniu.

— A ja?

— Pani? Pani może iść do hotelu, albo, czy ja wiem... Ja nie ustąpię, bom przywiązany do swego łóżka.

— Panie, panie kochany... — zaczęła prosić.

— Nic nie pomoże. Dla przyzwoitości możemy nie spać oboje. Ja wszakże położę się — a pani niech się położy także n. p. na sofce — o! stąd nawet nie widać — i będziemy rozmawiać...

— Panie — co powiedzą na to?!

— Ja przecież nie wprowadzałem się do pani.

— No, panie — panie — —

— Skończyłem. Obecnie mogę rozmawiać lub spać. Co pani woli?

Milczenie. Głuche, nieznośne milczenie.

— A więc opowiem pani kilka nastrojowych kawałków. Jestem dziś specjalnie usposobiony, gdyż pochłonałem kilka tomików poezji. Słucha pani? Co? Nie? Aha!... Słucha... Więc — coby pani powiedziała na to, gdyby tak nagle ktoś zapukał teraz, albo nie — — gdyby bez puka-

GRAF DE KŁAKOWO KŁAK.

I.

Jeżeli kim, to tym właśnie jednym i jedynym człowiekiem byliśmy wszyscy naprawdę zachwyceni. Nazywał się Kłak. Ignacy Kłak. Ale postać jego, jego zamaszysty gest, twarz aktora na emeryturze, spojrzenie jakby z niebios — i wiele, wiele innych jeszcze zalet osobistych tego najgenialniejszego w Polsce lenia złożyło się na to, że pewnego razu w kawiarni przy stoliku ktoś zwrócił się nagle do niego i zawołał:

— Te, hrabia!

Kłak najspokojniej w świecie odparł:

— Co jest?

Parsknęliśmy śmiechem. Odtąd był hrabią. Ponieważ było w zwyczaju Kłaka zachwycać się

arystokracją berlińską ze względu na jej zachcianki helleńskie, przezwaliśmy go „grafem“ — grafem, nie wiem już dlaczego, de Kłakowo-Kłak. Tak brzmiało w całej rozciągłości jego imponujące nazwisko.

Graf de Kłakowo był przez pewien czas sensacją i postrachem stolicy. Wszyscy i wszystkie pragnęli go poznać, a zarazem wszyscy usiłowali unikać go, gdyż graf raz na zawsze postanowił nie mieć ani grosza przy duszy, a zarazem żyć na odpowiedniej tytułowi stopie. Pełno go było wszędzie. W restauracjach i kawiarniach — we Lwowie, Warszawie i Krakowie — no i naturalnie w Zakopanem. W lecie otulała jego bujną postać rozwichrzona peleryna, w zimie zaś futro, futro wprost jaśnie wielmożne. Dlaczego je wykupił z lombardu, nikt nie mógł dociec. Chyba dlatego, że już piętnasty rok studyował na uniwersytecie „ścisłą“ filozofię. Filozofom zaś — jak wiadomo — przydarzają się rzeczy, o których się filozofom nie śniło.

W tem to frapującym futrze przybył graf de Kłakowo zimą roku 191... do Zakopanego, aby tu spędzić święta Bożego Narodzenia. Za nim nadciągnął, jak klucz żórawi, cały zastęp łazików

kawiarnianych — poeciąt, medyków i różnych socyał-turystów, żyjących bez przerwy i bez pardonu wszystkimi sprawami Europy. Ludzie ci rozłożyli się po hotelikach i pokoikach, jeden graf de Kłakowo-Kłak mieszkania nie szukał i nie wynajmował, aby się tradycjom swoim nie sprzeciwić. Każdą noc bowiem, która zaczynała się dlań zwykle o świcie, spędzał u kogo innego, w innem otoczeniu, na innej kanapie, z inną... czkawką.

W Zakopanem panował właśnie istny szal narciarski. Zaraz na drugi dzień po przybyciu, graf de Kłakowo poszedł na Goryczkową, aby się oddać, choćby w roli widza, rozkoszom porywającego sportu. A na trzeci dzień Kłak zjawił się pierwszy na Goryczkowej i to jako narciarz. Nie wiadomo, co go tak żywiołowo pchnęło do sportu: czy sama idealna rozkosz jazdy na nartach, czy też strój narciarski. Zauważyć bowiem należy, iż ubrany był po narciarsku od *a* do *z*, tymczasem narty same były nieco nadłupane, o rzemykach jakby z gęsiej skórki. W rezultacie, gdy inni narciarze i narciarki nadeszły, Kłak uprosił kogoś, aby go wtajemniczył w arkana sportu zimowego. Po pewnym czasie wygramolił się, nie za wysoko jednak i spróbował zjechać. Jechał ostrożnie i po-

woli, krzycząc przeraźliwie „na bok!“. Wreszcie najechał na jakiś bardzo skromny smreczek, poplątał się koło niego i runął, jak długi. Rozległ się homeryczny śmiech. Same narty wyszczerzyły swe podeszwy. Grafi nie mógł wstać. Nadbiegło przecież „pogotowie“, dźwignęło go i odstawiło na drogę.

Podumawszy conieco, Kłak zdecydował się podziwiać przez jakie pięć minut „boskie uroki zimy tatrzańskiej“. Spojrzał więc w górę, potem na wszystkie kochane cztery strony świata, jeszcze raz w górę, potem na swe buciki narciarskie, wreszcie napluł, zapalił papierosa, zarzucił narty na ramię i tak ruszył ku Zakopanemu, marząc o cieple kawiarni i zapachu czarnej kawy.

Co pewien czas urozmaicał sobie ten »odwrot z Goryczkowej« gwizdaniem „Trójki“ lub wytworną deklamacją dwuwiersza z „Ostrożnej cnoty“ M. Waleriusa Marcyalisa:

„Nie kto łatwą legł śmiercią, wygrał u mnie sprawę:
Tego wolę, co życiem zarabia na sławę“.

II.

Przyszedłszy do kawiarni, grafi de Kłakowo rzucił do stu dyabłów narty, rozwalił się wygod-

nie na kanapie, wyjął z jakiejś bardzo misternej kieszeni angielską fajeczkę (à la Sherlock Holmes), nałożył tytoniu i zakurzył. Czuł się znakomicie. Błękitne, figlarne kłębuszki dymu muskały jego bujną czuprynę, jak wymarzone uśmiechy mile kapryśnych kobiet. Widać było, że w tej chwili nie tylko nie miał sobie nic do zarzucenia, ale z pewnością w duchu gratulował sobie, że jest tem, czem jest.

Podano mu wreszcie wiaderko czarnej kawy. Kłak pochylił się nad niem i z wyrafinowaną rozkoszą zachłysnął się najpierw czarującym oparem niepospolitego napoju. Zaczem wrzucił kawałek cukru i z artystyczną precyzją zaczął smakować łyżeczkę za łyżeczką. Wreszcie połknął jeden i drugi haust. Ogrzał się. Głowę wsparł na oparciu kanapy i poddał się kawiarnianemu rozleniwieniu. Po chwili sięgnął do kieszeni i wyjął broszurkę p. t. „Narty i jazda na nartach“. Przerzucał szybko kartkę za kartką zatrzymywał wzrok jedynie na ilustracyach, a gdy dobiegł końca, powtórzył tę historię jeszcze raz, poczem broszurkę zamknął i rzucił ją na stół przed siebie.

...Ostatecznie — rozmyślał — niema tak wiel-

kiej różnicy między teorią a praktyką. Tak samo można się zmęczyć jazdą na nartach, jak i czytaniem o nich broszury.

Machnął odruchowo ręką i zawołał: „płacić!”. Pan Stefan, nasz nieoceniony płatniczy, śmiał się już z daleka z tego dowcipu. Okazało się przecie, że Kłak nie zawsze kpi. Centami i halerzami wyliczył się z panem Stefanem co do joty.

I już skierował się ku wyjściu, gdy drzwi kawiarni otwarły się nagle z łoskotem, a do środka wpadł, jak wiatr halny, pewien młody aferzysta, przed którym nic się już chyba nie ukryje na świecie.

— Kłak! Na miłość boską, pędź!

— Co się stało?

— Zastrzelił się Skórski.

— Spodziewałem się tego — odrzekł spokojnie graf de Kłakowo Kłak. — Byłem prawie pewny, że tu po to przyjechał. Chodź ze mną, pójdziemy tam razem, zwrócił się do upojonego sen sacyą chłopaczka.

— Nie! Chciałem ci tylko powiedzieć.... muszę dalej, innym... — i chłopaczek, jak to mówią, zwiął.

W kawiarni powstało lekkie zamieszanie. Ro-

bak (pies) zaczął myrdać ogonkiem, pan jego (psa, nie samego ogonka) wyjął z ust papierosa, jakaś pani przestała na chwilę wycierać nos. Pan Stefan troszeczkę zdębiał, a Staś, jego pomocnik, na poczekaniu zrobił ze swych ust coś w rodzaju smoczej jamy. Jeden jedyny graf de Kłakowo-Kłak utrzymał się zarówno zewnątrz, jak wewnątrz, na wysokim poziomie niezachwianej równowagi.

Willa, w której mieszkał Skórski, była niedaleko od kawiarni. Kłak szedł ku niej z początku krokiem zwyczajnym, powolnym, nie zdradzającym żadnego zdenerwowania. Nagle stanął. Momentalnie pochylił głowę, wywołał na twarz (twarz Cezara, Napoleona, czy aktora na emeryturze) dziwne, starcze zmarszczki, oczy mu zaszły mgłą, zachwiał się. Obejrzał się dokoła i ruszył naprzód. Za nim i przed nim błakali się ludzie, próżnujący umiejętnie i nieumiejętnie, jednym słowem goście, lecz goście nieznanomi.

Pomimo to, postarzała błyskawicznie twarz grafa wcale nie miała zamiaru odmłodzić, postać jego pogięła się, po prostu miało się wrażenie, że ulicą idzie uosobienie zakatarzonego nieszczęścia. Kłak najlepiej wiedział, jak w tej smutnej chwili

wygląda. To też powoli zaczęło go ogarniać szczerze, tkliwe uczucie litości nad samym sobą. W oczach zakręciły mu się łzy. Szedł, chwiał się, przystawał i medytował.

W gruncie rzeczy nie zdawał sobie jasno sprawy, poco tam idzie. Zobaczyć ranę na łbie, w okolicy serca, czy gdzie indziej — toż nie nowość dla Kłaka. „Widział ich już tyle...” Ale... ale... przyjaciel, przyjaciel — prawda! I otóż właśnie przyjaciel. No tak... Palnął sobie w łeb. Dlaczego? dlaczego? Wyżył się, nie kochała go kobieta? Jeżeli się wyżył, to pocóż mu kobieta? Jeżeli zaś myślał o kobiecie, to pocóż się wyżył? Jednem słowem — przyjaciel!... Pewnie biedaczysko sam, opuszczony, zaniedbany...

Graf de Kłakowo rozczulał się coraz rzewniej. Wszedł wreszcie do willi, przezwanej bardzo przyjemnie „Radostką”; co prawda, ze wszystkich jej okien wiało obecnie przerażeniem. Na schodach wyminął się z lekarzem, który — jak doniosły później dzienniki — „przyszedł już tylko po to, aby skonstatować śmierć”. Powoli wydrapał się Kłak na piętro. Tam, w małym, miłym pokoiku zastał właścicielkę willi i kilka mało znanych sobie osób. Na otomanie leżał młody, przedziwnie

piękny mężczyzna-trup. Usta miał nieco rozchyłone, oczy przymknięte. Ręce złożone na piersi. Ubrany był elegancko. Kłak pokłonił się samobójcy z głębokim szacunkiem. Zwróciło to uwagę obecnych, zaszeleściały szepty. Kłak stał tymczasem niewzruszenie na jednym miejscu, w końcu zwrócił się do gospodyni, dał jej adres rodziny samobójcy, skłonił mu się ponownie i wyszedł. Szedł zaś poważnie, spokojnie i chłodno.

— No... teraz będzie stypa — pomyślał, gdy na dole zamykał za sobą ostatnie drzwi.

W tej chwili ktoś go trącił. Do willi pragnęła wejść młoda, ubrana czarno, niezwyklej urody kobieta. Czarny kapelusz z ogromnem, fantastycznie ułożonem rondem, z pióropuszem barwy mgły jesiennej, zdobił posępną, śniadą jej twarz o głębokich, czarnych, płonących oczach. Graf de Kłakowo spojrzał na nią. I w tej chwili zapomniał, kim jest. Stał się momentalnie zwykłym, zwyczajnym Kłakiem z pod Jasła, czy skąd tam. Łaska wypadła mu z ręki, nie zauważył tego. Zapatrzył się w oczy kobiety. Spojrzał na jej usta, usta szalone, wołające, pełne nieogarniętej rozkoszy i nad wyraz słodkiego bólu. Chcąc ominąć go, nieznajoma przegięła się tak dziwnie, że wy-

dała się w tej chwili węzłem kuszącym, czarującym, wołającym w przepaść miłości i śmierci.

— To pani... — wyszeptał mimowoli.

— Ja... ja... — odrzekła nieznajoma prawie obłędnie, szarpnęła silnie drzwiami i weszła do willi.

Kłak stał oniemiały w miejscu dobrych pięć minut.

III.

Pogrzeb Skórskiego odbył się trzeciego dnia rano. Wieczorem tegoż dnia miała się odbyć koleżeńska stypa. Kłaka ogarnął istny szal pijacki już od samego rana. Od pogrzebu siedział cały dzień w kawiarni, zmieniał co chwila towarzystwo, łąził od jednego stolika do drugiego, gestykulował, gadał, pił. Pił wyłącznie wódkę. Inne trunki nie cieszyły się jego względami. Ale właściwa gremialna stypa zaczęła się dopiero koło godziny dwunastej w nocy. O samobójcy nie mówiono nic, wiele natomiast rozprawiano o wieczności duszy. W przedmiocie tym powzięli żałobni pijacy zdanie, iż właściwie na dwoje babka wróżyła. I inne palące kwestye doczekały się również podobnego rozwiązania.

Koło godziny trzeciej czarowna dysputa prze-

mieniła się w jakiś młyn dyabelski. Każdy meł z młodzieńczym zapalem swoje bolączki na tak tragiczną mękę, że można było zrywać boki ze śmiechu. Wreszcie nadszedł moment, który wieczorowi nadał charakteru zgoła nieoczekiwanego. Graf de Kłakowo rzucił się mianowicie pod stół i wyciągnął stamtąd kalosz panny Niny.

— Panowie! — zawołał. — Oto są i niewiasty między nami. Wychylmy ich zdrowie. Jako urodzeni błędni rycerze wieku dwudziestego, musimy tę sprawę załatwić po rycersku. Nasi zabawni przodkowie pili zdrowie białogłów ze złoty pantofelków. My dostosujemy się do ducha czasu i wychylimy zdrowie pań z kalosza miłościwie spozierającej na nas panny Niny. Będzie to i po rycersku i symbolicznie!

To rzekłszy, nalał wódki do kalosza i wypił. W ślad za nim poszedł Jaś Zasławski, bardzo zdolny erotoman, przytem medyk. Inni towarzysze jakoś zgrabnie usunęli się od tego rycerskiego wyrazu czci dla płci pięknej. Panie zanosily się ze śmiechu. Graf de Kłakowo nie siedział już, lecz gonił w kółko koło stołu, popijał, rzucał jakieś ogromnie ważne uwagi i sam ze sobą rozprawiał o ich doniosłości.

Wyrwała się wreszcie i piosenka z jednej mi-
lutkiej piersi, podchwyciły ją w lot drugie i trze-
cie. Zaczęliśmy śpiewać. Co i jak tam śpiewano,
Bóg jeden spamiętał. Największem uznaniem grafa
de Kłakowo cieszyły się piosenki góralskie.
Szczególnie:

„Bijom sie cygani na dolinie —
bijom sie cygani na dolinie;
nie bijcie sie,
pogódźcie sie —
má cyganka cárne ocka,
podzielcie sie!

Ryczał tę śpiewkę w niebogłosy i wodził się
z nią po całej sali.

— Panowie! — mówił w przerwach między
jedną a drugą śpiewką — pieśń ludowa działa,
jak zdrowa, młoda, piękna, o czarnych oczach
kobieta. Porywa nas, ponosi, w zamęt rozkoszy
rzuca. Gazda! — zwrócił się nagle do stojącego
koło drzwi furmana — za wasze zdrowie! Gazda,
dajcie pyska!

I popędził do gazdy, pił z nim i całował się
od serca.

Dzień zbliżał się powoli. Wszyscy mieli już —

zdaje się — dosyć tej zabawy. Zebraliśmy się i wyszli na ulicę. Wiatr halny huczał i zawodził złowrogo; deszcz — w styczniu! — siekł ostro, rżęsiście. Opanowało nas niepostrzeżenie uczucie straszliwego osamotnienia w tym czarnym, ponurym mroku potwornej nocy. Zaczęły się pożegnania ciche i bez słów prawie. Pod kawiarnią zostaliśmy wreszcie we dwójkę: Graf de Kłakowo-Kłak i ja.

— Tadziu — powiada do mnie Kłak tonem rozkazującym — będziesz spał u mnie.

— U ciebie? — pytam niedowierzająco.

— U mnie, u mnie. Gdzieżbyś ty teraz laźł do Poronina? Chodź, Tadziu, ze mną — chodź...

— A gdzie ty mieszkasz?

— Ja? Gdzie mieszkam? No... rozmaicie. Dziś pójdziemy n. p. do Kołatki i wyrzucimy go z łóżka. Pójdzie se obserwować wschód słońka.

— Deszcz pada... Zresztą — nie można...

— Jakto — nie można? Jeśli będzie ordynusem i wyrzuci nas, to u Jasia Zasławskiego — słyszałem — jest jakiś mały, zaciszny kąt na strychu. Chodź!

— Zimno na strychu. Chodź raczej ze mną do Poronina.

— Do Poronina — powiadasz? A dobrze, dobrze — i owszem. Spacerek ładny, deszcz pada, „leje siekawica, doleje, dosiece Janickowi lica“. I owszem, idę.

Ruszyliśmy w drogę. Kłak zataczał nie conieco, fantazyi przecież nie tracił. Pod willą „Jasny Wirch“ zaczął nucić jakąś szelmowsko-sentymentalną piosenkę.

— To na cześć Lili — rzekł po pierwszej zwrotce.

— Szkoda czasu...

— Szkoda czasu? Bój się Boga! — wołał graf de Kłakowo z oburzeniem. — Kobietom nigdy nie poświęcamy za dużo czasu. Pomyśl tylko... Przecież to takie, takie... miłe stworzonka. Takie stworzonko jest nieraz wprost wściekłe, a jeszcze znajdzie uśmiech dla ciebie. Albo: oszukuje cię, kłamie (jak z nut), przekręca twoje słowa, ale z uśmiechem, z tym słodkim, wabliwym, czarującym uśmiechem. Lubię to. Te, co mnie (i nas) oszukują, najbardziej lubię. Te mają najwięcej uroku i umieją go zachować najdłużej. Lili z pewnością do tych należy... Lili! — krzyknął przeraźliwie głośno.

Starąłem się uspokoić wszelkimi sposobami

zbyt liryczne okrzyki Kłaka. Gdyśmy znów uszli spory kawał drogi, stanął naprzeciw mnie i zaczął:

— Ale ta, wiesz, ta z tym fantazyjnym kape-luszem... Na schodach pod „Radostką“... Te czar-ne oczy, te głębiny, buchające czarnymi płomie-niami... Patrzała na mnie, ja na nią... No, Skór-ski mógł sobie palnąć w łeb... I owszem... mógł...

— Czasby był i na ciebie — żartowałem.

— Hm... bratku. Pewnie, pewnie. Ale ja — uważasz — nie biorę życia tak zupełnie na se-ryo. Uważasz? Minęły te czasy. Wszystko takie zabawne... I to społeczeństwo i literatura i poli-tyka... Skąd, dokąd i poco? Hihhi!... Uważasz — trzeba tylko raz spojrzeć na seryo *sub specie aeternitatis*, hehe, a cały pogląd na świat taki ci się zrobi weselutki... hihhi!...

Zamilkł. Po chwili dodał:

— Nie jestem ani szczęśliwy, ani nieszczęśliwy. Jestem — mgła. Ja jestem polska mgła. I chcę się poplątać trochę po świecie. I zabawne, że nie znam ludzi szczęśliwych, ani nieszczęśliwych (mo-jem zdaniem — uważasz). Mówię całkiem poważ-nie w tej chwili — znów stanął i zaczął szarpać

guziki od mego palta — pójdę z wiosną do Indyi, piechotą. Jeżeli po drodze, lub u celu podróży spotkam jednego naprawdę szczęśliwego, lub nieszczęśliwego — mojem zdaniem — człowieka, to wtedy... może, może... Wtedy może znajdzie się kulka i dla mnie. A do tego czasu będę pił.

Nagle wybuchł szalonym, nieokiełznanym śmiechem.

— Słuchaj — mówił, zanosząc się od śmiechu — i ja też... miałem narzeczoną. Hihih! A bodajże ją... Bardzo sympatyczna dziewczyna. Ale dowiedziała się, że piję — powiada — nałogowo! Wali ci do mnie „Liebesbrief“ i zaklina mnie, bym nie pił, to wyjdzie za mnie — hihih!... A bodajże ją... Więc odpowiadam jej: „Moja taka a taka Izabelko! Mogę być tylko takim, jakim mnie sobie życzył mieć Pan Bóg. Uważasz? Bliższych informacyi o mnie może ci udzielić c. k. policya stołecznego miasta Krakowa, Lwowa, lub“... I po tym szczerem liście moim zamilkła. Biedna dziewczyna... Kto wie, czy się nie rzuciła pod pociąg z rozpacz.

— Nie czytałem w gazetach o takim wypadku — musiałem uspokajać Kłaka, gdyż zaczął rzewnie płakać.

Doszliśmy jakoś szczęśliwie do kościółka w Poroninie. Kłak „wyrwał“ niespodzianie z drogi i podszedł do Chrystusa, który wisi na przydrożnej ścianie kościoła. Staął pod nim nabożnie, ucałował go serdecznie w nogi i wrócił na drogę. Nie chciałem mu psuć podniosłego nastroju, więc nie pytałem ani słowem, co właściwie miał oznaczać ten dziwny akt skruchy.

— O, jak Boga kocham! — krzyknął nagle.

— Co się stało?

— Mam ci jeszcze w kieszeni flaszkę wódki. Popatrz no... O! flaszką, dygara, papierosy, sardynki...

Chwycił mnie za gardło przeciągły, pusty śmiech. Poznałem i tę flaszkę i te „dygara“, papierosy i sardynki. Były to niedobitki ze stołu kawiarnianego.

— Powiadam ci — mówił rozradowany Ignacy graf de Kłakowo-Kłak — ta wódka to jest ciekawy wynalazek. Ni to wróg, ni to przyjaciel. Bez niej trudno, z nią rozmaicie. Ma w sobie także coś z kobiety. Jest zalotna, słodka lub gorzka, upaja i tak dalej... aż do kulki w łeb... No, ale gdzie i jak my tę wódkę wypijemy?

Koło stacyi kolejowej mieszkał jakiś zakaptu-

rzony belfer, o którym opowiadałem kiedyś Kłakowi. Postanowiliśmy go zbudzić i wspólnymi siłami wychylić kielich goryczy do dna. Świtało już na dobre. Belfer, pomimo wszystko, nie obraził się i przyjął nas ze staropolską gościnnością.

— Pozwoli pan — krzyczałem już we drzwiach — przedstawię mu mego towarzysza. Pan Ignacy graf de Kłakowo-Kłak...

— *Nehmen Sie Platz* — odpowiedział profesor uprzejmie.

Wypiwszy jeden i drugi kieliszek, pan profesor wstał z łóżka i zaprosił nas „na swoją odpowiedzialność“ do szynku. Piliśmy jakieś lemoniady, czarne kawy i herbatki. Wreszcie Kłak wstał i pospiesznie wyszedł. Gdyśmy wyjrzeli za nim, był już na torze kolejowym. Szybko przeszedł go, wpadł w głęboki rów, wygramolił się i widzieliśmy go jeszcze, jak brodził w śniegu, idąc ku spienionym falom Dunajca. Znikł w zaroślach. Ogarnął nas gwałtownie nieopisany lęk.

Żwawo ruszyliśmy jego tropem. Gdyśmy już doszli do zarośli, zaczęliśmy wołać w niebogło-

sy: „Kłak! Kłak!“ Lecz nie było odpowiedzi. Pan profesor zdołał tymczasem zgubić swój cwikier, szukał go więc bezradnie, klnąc i stękając, jak stary dragon. Kamieniec huczał przeraźliwie dzikim warkotem wezbranego, mętnego Dunajca. Dzień już nastał, dzień dziwnie łagodny, słoneczny, przebaczący. Kłaka nie było widać. Stanałem pod jakąś cienką, młodą olchą i bezradny jeszcze raz ze wszystkich sił zawołałem „Kłak!“ W tej chwili poruszyło się coś nad samą wodą. Pobiegłem w ową stronę. I oto ku memu oburzeniu Kłak siedział tu najspokojniej w świecie na gładziutkiej skrzyżali, zasłoniętej nieco od zarośli garbatą skałą. Usiadłem tedy tuż obok niego, lecz Kłak — zdaje się — udał, iż mnie nie zauważył.

— Kłak — zacząłem wobec tego — kiedy ostatni raz byłeś w teatrze i co wtedy grali? którą rolę „dublujesz“?

Kłak spojrzał na mnie złowrogo.

— Kłak, nie gniewaj się na mnie — mówiłem dalej. — Ot, pochyl się, bratku i pocałuj wodę.

— Co? Ja? Wodę? Pocałować? — I Kłak zerwał się nagle z miejsca, zrobił jakiś dzi-

waczny ruch i tak, jak stał, w ubraniu wszedł w wodę. Nie zdołałem jeszcze przyjść do siebie z osłupienia, gdy Kłak był już na drugiej stronie rzeki.

— I poco on to robi? — odezwał się za mną profesor. — Gotów się nabawić kataru.

— Zawsze podziwiałem pańską zdolność przewidywania, profesorze! Znalazł pan cwikier? Więc czegoż pan stoi? Niechże pan idzie po Kłaka.

— Może pan pozwoli.

Profesor skłonił mi się do nóg i z dworną galanterią wskazał rzekę. Oburzyła mnie ta wyszukana bezczelność. W gruncie rzeczy woda straszliwie zimna. I brudna. Sięga powyżej kolan. Co tu robić? Ot, położyłbym się do łóżka.

— Kłak! Na miłość boską, Kłak! — wołałem rozpaczliwie.

Kłak tymczasem tarzał się po śniegu, wstawał, obejmował drzewa, całował je i kłaniał się w pas słońcu, to znowu posyłał nam jakieś tajemne znaki ostatnich pożegnań. Chwilami chwycił mnie już śmiech — szalony, pusty, nie liczący się z niczem, śmiech bezradnego człowieka w sytuacji tragicomicznej. To

znów ogarniała mnie poprostu trwoga o „tego waryata“.

— Za ciąg dalszy odpowiedzialności nie biorę — wtrącił znów pan profesor.

— Więc może pan odejść.

— Oho, mój panie. Za nic w świecie. Jeszcze nic podobnego nie widziałem w swem życiu.

— Kłak, powieś się wreszcie! — krzychałem wściekły.

Prawdopodobnie usłyszał te słowa, gdyż wywijając groźnie laską, zaczął pędzić z powrotem ku rzece. Wpadł do wody, jak granat i momencie był przy nas. Zaczęliśmy go namawiać i błagać, by szedł z nami do domu. Lecz prośby te tak rozsierdziły go na nowo, że wyrwał się nam z rąk i znów skoczył do wody. Prychał w niej, jak młody na łąkę, wypuszczony żreback. Ponieważ to porównanie stanęło mi wtedy bardzo plastycznie przed oczami, więc znów porwał mnie śmiech, śmiech nieokiełznany, szalony. Kłak właśnie w tej chwili stanął na przeciwnym brzegu i odwrócił się do nas. Zauważył mój śmiech. Spostrzegłem, że zbladł i począł drżeć na całym ciele. W oczach jego było coś z przesmutnej beznadziejności. Leniwym i ospałym krokiem włókł

się koło wody i szukał wygodniejszego, płytszego odwrotu. Pozwoliłem sobie zaproponować mu przejście w miejscu, gdzie woda rozlała się po kamieńcu i była rzeczywiście płytsza.

— Myślicie, że nie umiem pływać? — zawołał oburzony i zawrócił w górę, gdzie koryto Dunajca było wąskie a woda głębsza. Nie pomogły już żadne zapewnienia wiary w jego umiejętność pływania. Kłak wszedł od razu w jakiś gwałtowny, spieniony wybój. Woda poniosła go. Lecz Kłak istotnie nie dał się. Zaczął pływać. Ciapkał rękoma po wzburzonych falach, a futro jego wlokło się za nim, jak rekin za okrętem. Dobił wreszcie do brzegu. Zdarliśmy z niego futro i wzięliśmy je na długi kij. Kłak był mokry do nitki, blady, jak śnieg, milczący i wyczerpany. Nie oponował już przeciw niczemu.

— Tyle energii społecznej zużyć na taki wątpliwej wartości wybryk! — medytował profesor, pomagający mi dźwigać futro Kłaka na kij.

Szliśmy powoli, nie mówiąc nic do siebie. Ludzie, idący do kościoła, przystawali grupkami i obserwowali nas z ironią, pełną pobłażliwości. Gdyśmy weszli do izby, Kłak odetchnął. Przebrałem go szybko i ułożyłem na łóżku. Zażądał

jeszcze wódki „na rozgrzewkę“. Wypił kieliszek jarzębiaka i zaczął coś bredzić.

— Myślałem, że pójdziecie i wy za wodę... Eh!

— Niema głupich, panie hrabio! — odpalił mu profesor.

— No tak, tak...

Ogarniała go zwolna błoga, słodka senność. Jeszcze marudził coś, lecz oczy miał już skleione. Jakby ostatnim tchem mruczał pod nosem:

Wiatr za szybami śmieje się —
Psia krew! — to życie takie złe!
Nie — już nie będę więcej pić.
Jutro inaczej zacznę żyć!

Spał do wieczora. Gdy się zbudził, wypoczęty i zdrów, złożył nieproszoną przysięgę, że nigdy już nie będzie pił alkoholu. Przyjąłem to do „zawierającej wiadomości“ i odwiozłem go do Zakopanego. Pamiętam, jak po drodze zauważyliśmy jeszcze, iż tej nocy częściej był Kłakiem, niż grafem de Kłakowo. Ale już w Zakopanem nabrał od razu poloru. Zachciało mu się kawiarni. Ledwieśmy weszli do niej, Kłak zamówił sobie „silną z mocną na rozgrzewkę“.

— Przysięgałeś przecie — tłómaczyłem mu.

— Tak, ale w Poroninie, nie w Zakopanem.
A w Poroninie chyba już nie będę w swem życiu.

— Jesteś niepoprawny, Kłak...

Lecz Kłak spojrział na mnie z góry okiem
dumnego lwa. Zaczynał być Ignacem grafem de
Kłakowo.



Yn. 9419.

Miejska Biblioteka Publiczna
w Zakopanem

82-3



0003-013935-00

SPIS RZECZY.

	Str.
Dobrzy ludzie	1
Piosnka Gajdosia	101
Pan Jezus przyszedł	108
Powrót	118
Pogański Bóg	123
Zawierucha	133
Moja współlokatorka	156
Graf de Kłakowo-Kłak	165